

Herbasencja

NAJLEPSZE Z WWW.HERBATKAHELENY.PL SIERPIEŃ 2012



Spis treści

POEZJA:

EISERNE DROSSEL pani Szapocznikow zmienia miejsce zamieszkania 11

EISERNE DROSSEL pani Szapocznikow pozbywa się majuskuły 12

WIKTORIA - ABONENT 13

SHECAT dlatego 21

EISERNE DROSSEL pani Szapocznikow a kosmos 24

WIKTORIA Niechcący 25

ZACHARY ANN zakorzeniony 26

EISERNE DROSSEL pani Szapocznikow rzeźbi macierzyństwo 27

EISERNE DROSSEL szkicownik pani Szapocznikow 28

KWIAT_KALAFIORA zanim. alzheimer 29

PROZA:

DYODA Różnica 3

TOMASZ OBLUDA Mroźne sny 5

ANNA ZAJĄC Strażnik plaży 14

WASIŃKA Łzy słonecznika 22

BURY_WILK we don't need another hero - historia o wilkolaku 30

DYODA

Różnica

Wsiadłam do prawie pustego autobusu. O tej porze mało kto zaczyna pracę, a z własnej woli tak wcześnie wstawałby tylko szaleniec.

Usiadłam przy oknie, chcąc zaczerpnąć energii od ospale wstającego słońca. Była dopiero środa, a moje siły już się wyczerpały. Rutyna przyprawiała o mdłości.

Dzień zapowiadał się źle. Kierownik zaplanował kolejną, bezsensowną pracę, której celem miało być, jak zawsze w takich przypadkach, stworzenie pozorów robienia czegokolwiek po to, żeby „góra nie zaczęła węszyć“. Na domiar złego, reszta tygodnia również nie wyglądała różowo.

Jakby chociaż forsa z tego była - pomyślałam. Niestety nawet tym nie mogłam się pocieszać. Miałam wykształcenie, byłam młoda, ale najwidoczniej brakowało „tego czegoś“ albo - w co chciałam wierzyć - mój czas jeszcze nie nadszedł.

Zamknęłam oczy, kierując twarz w stronę słońca, i próbowałam udawać, że jestem gdzie indziej. Autobus zatrzymywał się na kolejnych przystankach, sycząc mechanicznymi drzwiami.

W pewnym momencie instynktownie poczułam czyjeś spojrzenie. Moja uroda była całkiem przeciętna, a strojem i uczesaniem starałam się nie wyróżniać, dlatego nawet z zamkniętymi oczami wiedziałam, gdy ktoś mnie obserwował. Nie zdarzało się to często.

Wbrew sobie rozejrzałam się po autobusie i dostrzegłam właścicielkę świdrującego, zielonego spojrzenia. Była to dziewczyna stojąca przy drzwiach z przodu autobusu, zbliżona do mnie wiekiem, o krótko ostrzyżonych, rudawych włosach. Ładna.

Czego się gapisz? - zapytałam ją w myślach, odwzajemniając nachalne spojrzenie. Starałam się patrzeć z możliwie największą odrazą. Liczyłam na to, że dziewczyna odwróci wzrok, jak zwykle robią to przypadkowi gapie, ale ta patrzyła dalej, nie zdradzając najmniejszego zakłopotania.

Irytacja sięgnęła zenitu. Zadziałałam impulsywnie, zupełnie nie w moim stylu. Każdego innego dnia sama odwróciłabym wzrok i z milczącą akceptacją pozwoliłabym gapić się na siebie.

Kierowca zwolnił, zaczynając parkowanie na kolejnym przystanku, kiedy wstałam i pewnym krokiem podeszłam do owej dziewczyny, która nadal patrzyła na mnie jakby nigdy nic.

Pasażerów wciąż nie było wielu, choć nie miało to już znaczenia.

Zatrzymałam się tuż przed bezczelną obserwatorką i zapytałam:

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego tak się na mnie gapisz?

- Bo jesteś piękna - usłyszałam w odpowiedzi.

Autobus stanął, syczący mechanizm otworzył drzwi, dziewczyna zrobiła krok w kierunku wyjścia.

- Poczekaj - zdołałam wydusić z siebie tylko jedno słowo, prawie szeptem.

- Nie mogę - odpowiedziała, uśmiechnęła się i wysiadła.

Syk drzwi, warkot silnika, szarpnięcie.

Niezbyt wiele pamiętam z reszty tamtego dnia. Świadomość wróciła dopiero następnego poranka, kiedy wsiadłam, jak co dzień, do autobusu. Całą drogę do pracy z przejęciem zerkałam na drzwi.

Na próżno. Nie było jej. Ani wtedy, ani nigdy potem.

Minęło wiele lat i, muszę przyznać, zaczęłam wątpić, że ona w ogóle istniała. Być może tylko mi się przyśniła, lub była tematem niespełnionego wiersza, a czas pomieszał wspomnienia i tęsknoty.

Jest jednak coś, co pozwala mi wierzyć, że to wszystko się wydarzyło. Pozornie subtelna różnica.

Od tamtego dnia jestem piękna.

TOMASZ OBLUDA

Mroźne sny

Nie potrafił zrozumieć co się dzieje. Jakby jego ciało eksplodowało i implodowało na przemian, jakby był częścią surrealistycznego koszmaru. Przed oczami widział setki barw i odcieni. Jednak nie czuł bólu. Trwało to godzinami. A może krócej, może zaledwie kilka minut? Po jakimś czasie wszystko stało się dla niego obojętne. Postanowił poczekać na to, co się stanie.

Ocknął się na miękkim łóżku. Był spokojny. *To wszystko musiało być strasznym snem. Chory sen.* Gdy trochę doszedł do siebie, poczuł niepokój. Nic nie pamiętał. Chyba był we własnym domu, bo po przebudzeniu nie zdziwiło go miejsce, w którym się znajdował, ale nie miał pewności. Nie pamiętał kim jest, skąd pochodzi, kompletnie nic. Jakby był obcą osobą. *Wiktor!* To było jego imię. Wreszcie jakiś konkret. *Po nitce do kłębka.*

Usiadł i rozejrzał się dokoła. Zwykły pokój. Chyba sypialnia. Brak telewizora, radia i innych sprzętów. Szafka nocna, na niej elektroniczny budzik. *Dziewiętnasta. A, więc jest wiosna albo lato.* Za oknem było jeszcze widno. Skoro pokój mu nic nie mówił, trzeba było zobaczyć, co jest na podwórzu. Wstał i po chwili prawie padł na podłogę. Ledwo utrzymał równowagę. To przez ten sen. Czuł się jakby zszedł z diabelskiego młyna. Wreszcie ruszył w stronę okna. Lekko rozsunął franki i spojrzął na las i łąkę. *Kojarzę to miejsce.* Uśmiechnął się. Tylko czy aby na pewno? Widoczek jak z tanich obrazów, sprzedawanych na rynku w Warszawie. *Jestem z Warszawy? Znam to miasto. Znam też Kraków, Poznań, Łódź. Co się dzieje, do cholery?!*

- Jest tu kto?! - wreszcie krzyknął.

Nic, żadnej odpowiedzi. Nagle usłyszał chrobot. Wstrzymał oddech, gdyż zaległa cisza. Dźwięk się powtórzył. Ktoś jest na dole. Jestem uratowany.

- Hallo! - rzucił się w stronę drzwi.

Zamknięte. Zamknięte na klucz. Zaczął szarpać za klamkę, krzyczeć, walić i kopać w drzwi. *To nie ma sensu.*

Wrócił na łóżko. Z rezygnacją położył głowę na dłoniach. *Co się dzieje? Ktoś mnie porwał?* Nagle spojrzął na okno. To jest wyjście. Ucieszył się, że nie stracił głowy w tej dziwnej sytuacji. *Ale za moment. Muszę się najpierw zdrzemnąć.* Nagle poczuł zniewalającą senność. Skulił się na łóżku i zasnął.

Dorota jako pierwsza wysiadła z auta, nie czekała na Adama. Zabrała torebkę z tylnego siedzenia i ruszyła dziarskim krokiem w stronę domu. Nie obejrzała się nawet za mężem, który powoli wygramolił się z samochodu. Wyjął z bagażnika dwie reklamówki pełne zakupów i ruszył powoli do domu. Był szczupły, wysoki i całkiem niezle zbudowany, nikt na pierwszy rzut oka nie pomyślałby, że ten mężczyzna mógł być taki powolny. Mimo to Adam przez większość życia zachowywał się bardzo apatycznie. Bynajmniej nie dlatego, że nie miał w sobie energii. On po prostu twierdził, że nie należy jej niepotrzebnie marnować. Z początku Dorocie nawet podobała się ta maniera. Była zafascynowana wyjątkowością Adama. Poza tym sporo zarabiał, był zaradny, inteligentny i przystojny. Jednak z czasem jego sposób bycia stał się irytujący.

- Adam, ty nie masz jaj! - krzyknęła kiedyś podczas kłótni.

Skwitował to tylko ironicznym uśmiechem.

Po co odpowiadać na taką zaczepkę, skoro to nic nie zmieni.

Już rok po ślubie, zaczęła myśleć o zdradzie. Kochała Adama, ale chciała coś zrobić, coś co sprawi, że znów poczuje się żywa. Liczyła, że może się o tym dowie i to wzbudzi w nim jakieś intensywniejsze emocje albo ona doceni, jak jest jej dobrze z mężem w łóżku, czy też poczucie winy zmusi ją do zmiany stosunku wobec jego apatycznych zachowań. Jednak w rzeczywistości motywacje nie miały znaczenia, liczył się fakt, że pomysł zakwitł w głowie. Stało się to w pierwszą rocznicę ich małżeństwa. Teraz zbliżała się czwarta.

Położył torby koło stołu i zaczął rozkładać rzeczy na blacie.

- Adam! - Dorota krzyknęła z łazienki na parterze.

- Co się stało, kochanie? - zapytał spokojnie.

- Ktoś jest na górze?! Słyszysz? - wrzasnęła z wyraźną pretensją w głosie.

- Kiedy krzyczysz to nie - odpowiedział i uniósł głowę.

Tylko wiatr świszczący za oknem.

- Dorota, jest kompletnie cicho - odparł. - Może ci się zdawało?

Usłyszał szum spuszczonej wody i po chwili żona ukazała się w drzwiach kuchni.

- Przed chwilą coś tam stuknęło. Jakbyś nie chrobotał tymi zakupami to byś usłyszał.

Zmarszczył czoło.

- Dobrze, pójdę na piętro sprawdzić. W porządku?

Spojrzała na niego z jakimś rodzajem pogardy i lekceważenia. Wiedziała, że to czasem na niego działa, że wyzwała w Adamie jakieś większe emocje. Irytuje go.

- Jak chcesz, idź zobacz, mnie to nie obchodzi.

Adam bezwiednie zacisnął pięści. Przecież jej posłuchał, dlaczego musiała być taka wkurzająca? Jednak poszedł na górę sprawdzić co wywołało domniemany hałas. Zaciekawiał się.

Wiktor śnił o domu. Wszedł przez główne drzwi. Nie pamiętał jak tam dotarł, znajdował się na jakimś pustkowiu, więc zapewne przyjechał samochodem. *Chevrolet Aveo - moje auto.* Przypomniał sobie. Sporo podróżował, to był jego trzeci samochód w życiu. *Czym się zajmowałem? Pracowałem i sporo zarabiałem. Ale gdzie?*

Drzwi były otwarte. Duży salon połączony z kuchnią. Znał ten dom, nie był tu pierwszy raz. Szerokie schody prowadziły na piętro. Na górze bywał najczęściej. Tylko po co? Wszedł po schodach i znalazł się w korytarzu. Troje drzwi po lewej stronie i dwoje po prawej. Jedne są do łazienki. Pamiętał o tym. *Nie mieszkałem tu. Ale znam budynek bardzo dobrze, to musiało być związane z moją pracą.* Wybrał środkowe. Coś mu mówiło, że powinien je przekroczyć, jakieś przeczcucie. Złapał za klamkę. I nagle nim szarpnęło.

Znów był w dziwnym świecie, znów go rozrywało i rzucało we wszystkie strony. Ale teraz nie było mu obojętne, teraz chciał się obudzić wrócić i wydostać się z tego dziwnego miejsca, odzyskać pamięć. Wiedział, że śni i to dodawało mu otuchy. Nagle nim rzuciło. Coś na jawie. Poczul silny podmuch i obudził się.

Dorota mimo stwierdzenia, że nie interesuje jej czy Adam pójdzie na górę, czuła niepokój i ciekawość. Przecież nic tam nie było. Żadnego włamywacza, żadnej wściekłej wiewiórki, nic takiego. A jednak kiedy usłyszała jak otwiera i zamyka kolejne drzwi nasłuchiwała w napięciu.

- Jest pusto, kochanie! - krzyknął z góry. - Nie zauważyłem duchów ani trolli - dodał sarkastycznie.
- Co za palant - szepnęła do siebie.

Dlaczego musiał być zawsze taki złośliwy. Albo obojętny, albo ironiczny do bólu.

Adam czuł, że coś jest nie w porządku. Drzwi do sypialni były zatrzaśnięte tak mocno, że musiał się z nimi siłować. Jakby zablokowane. Gdy wszedł do pokoju poczuł dziwny chłód, mimo że okno było zamknięte. Rozejrzył się i wyszedł prędko. Uderzyło go złe wspomnienie.

Wiktor zerwał się z łóżka i rozejrzył nerwowo. W ostatniej chwili zobaczył, że zamykają się drzwi do pokoju. Skoczył w ich stronę i złapał za klamkę. Ani drgnęły. Ktoś tu był i zamknął go.

- Otwieraj! Otwieraj do cholery! - wrzasnął z wściekłością.

Niestety nikt nie odpowiedział.

Zostałem porwany! To by wyjaśniało wszystko. Ktoś dał mu narkotyki zaburzające percepcję i pamięć. Stąd te dziwne sny i utrata świadomości. Tylko dlaczego, czego od niego mogli chcieć? *Pewnie chodzi im o okup. A może chcą coś wymusić na moich bliskich? Tylko co? Kim ja jestem?!*

Podbiegł do okna i zaczął w nie stukać. Miał nadzieję wybić szybę. Nie bał się konsekwencji, tego, że porywacze mogą być niebezpieczni. Musiał szybko znaleźć prawdę, bo czuł, że zaczyna popadać w szaleństwo, a utrata świadomości wydawała mu się czymś najbardziej przerażającym. *Widywałem wiele szpitali psychiatrycznych.* Przypomniawszy sobie. Wiem gdzie pracowałem. Nagle zamarł. Za oknem, przed domem stał samochód. Zielony Grand Cherokee. Rozpoznał tego Jeepa. Wiedział już gdzie jest. Zawył z wściekłości.

Nie przestawał krzyczeć nie tracąc oddechu. Przypomniawszy sobie co się stało. *Umarłem!*

- Umarłem!!! - poczuł jak szaleństwo i bezwładność ogarnia jego umysł.

On, który zawsze był na wszystko przygotowany, który potrafił panować nad każdą sytuacją, teraz był bezbronny. Musiał coś zrobić, bo czuł, że zaczyna tracić zmysły.

Dorotę przeszły dreszcze. Miała przeczucie, że stało się coś złego. Nie należała do kobiet, które przesadnie ufają intuicji, ale tym razem czuła fizyczny chłód. To nie mogło znaczyć nic dobrego.

Weszła do kuchni, gdzie Adam kroił warzywa. Spojrzała na jego twarz i zrozumiała, że on też to poczuł.

- Adam, co się stało? - zapytała niepewnie.

Lubił ją taką. Pozbawioną dumy i wyższości, która cechowała ją ostatnimi czasy.

- Wszystko w porządku, kochanie. Po prostu jest jakoś chłodno. Chyba zejść do piwnicy i podkręcić ogrzewanie - odpowiedział najczulej jak potrafił.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Nie kotku, ty dalej walcz z kolacją, sama się tym zajmę.

Odpowiedział uśmiechem i kiwnął głową.

Czasem bywało tak idealnie. Adam miał nadzieję, że może jednak udało mu się uratować małżeństwo. Dużo poświęcił, aby było dobrze. Nigdy nie spodziewał się, że jest taki odważny i silny. Mógł być z siebie dumny.

- Adam! - krzyknęła Dorota.

Zadrzał. To nie był ton irytacji, złości, czy wymówki, ale strachu. Rzucił sztućce i pobiegł do piwnicy.

Prawie się pośliznął, zbiegając po schodach. Wszystko pokrywała cieniutka warstwa szronu.

Dorota stała przy panelu sterowania ogrzewaniem i rozglądała się przerażona. Z jej ust wydobywały się obłoczki pary.

- Adam, to normalne, że jest tu tak zimno?

- To trochę dziwne, ale uspokój się, jesteśmy pod ziemią to się zdarza - skłamał.

Popatrzyła na niego niepewnie.

Kochał ją taką. Dorota, którą mógł się opiekować, która go potrzebowała i szanowała jego zdanie.

- Kochanie, ale na zewnątrz jest prawie piętnaście stopni? - zauważyła.

- W nocy był przymrozek. To nic takiego - uśmiechnął się.

Podszedł do żony, objął ją i pocałował w szyję. Przytuliła się.

Kolacja się udała. Adam był zadowolony, a Dorota spokojna. Mimo tego, co działo się w jej życiu i w umyśle w ostatnich miesiącach, zdawało się, że wszystko może być tak jak na początku ich związku. Idealnie.

Niestety nieprzyjemne uczucie wciąż jej towarzyszyło. Coś działo się z ich domem. Mimo podkręcenia ogrzewania do dwudziestu pięciu stopni, wciąż było zimno. Adam nie dawał po sobie niczego poznać, jednak widziała, że on też się niepokoi. Udawał dla niej.

Nagle usłyszeli trzask. Coś spadło w kuchni.

- Adam? - szepnęła. - Co się stało?

- Spokojnie, kotku. - Uśmiechnął się, aby ją pocieszyć.

Wiktor krzyczał tak długo, że zdawało mu się, że robi to od zawsze. Wreszcie zamilkł. Stwierdził, że to nic nie zmieni. Widział tyle filmów o zmarłych, którzy krążyli gdzieś pomiędzy światami. *Ale to tylko pieprzone filmy. To tak jakbym chciał przeżyć na bezludnej wyspie, ucząc się przetrwania z Cast Away z Tomem Hanksem.* Zresztą przetrwanie nie było najważniejsze. Musiał sobie wszystko przypomnieć, zrozumieć by nie oszaleć. Dlaczego umarł tak młodo? Miał wypadek? A może...? Pojawiła się myśl, która sprawiła, że znów zaczął krzyczeć, wrzeszczeć wściekle. Zamknął oczy, zacisnął pięści i zaczął ryczeć jak dzikie zwierzę albo człowiek ogarnięty obłędem.

Otworzył oczy. Nie był już w pokoju, tylko w kuchni. Przestał wrzeszczeć, tylko rozglądał się z uwagą. *Znam tę kuchnię i ten stół.* Uśmiechnął się do siebie. *Nie gotowałem tu, ani nie jadłem, robiłem na tym stole dużo ciekawsze rzeczy.*

Nagle poczuł zapach. Przyjemny i słodki. Znajomy zapach. *Kobieta. Znam ją, tylko skąd? Kim ona jest?* Nie widział nikogo, ale miał wrażenie, że w domu poza nim znajdują się inne osoby. Znają ją kobieta i mężczyzna. Kim oni byli? Ją kojarzył, ale tego faceta nie pamiętał. Właściwie jego zapachu. Gdyby tylko mógł go zobaczyć. *Czy oni też nie żyją? Są duchami?*

Usłyszał głosy. Ktoś rozmawiał, ale nie widział nikogo. Byli w salonie. Rozpoznał głos kobiety, do niej należał zapach. Zrobił kilka kroków, ale było mu bardzo ciężko. Jakby znajdował się w wodzie lub czymś bardziej gęstym. Uznał, że skuteczniej będzie wyteńczyć zmysły.

Rozmawiali o jakichś drobnostkach. Wyczuł woń jedzenia i alkoholu. Romantyczna kolacja. Głosu mężczyzny nadal nie rozpoznawał, ale jakby go kojarzył. Coś znajomego znajdowało się w tym tonie. Nagle usłyszał imię. Dorota. *Dorota Wasilewska. Śliczna, drobna blondynka. A może ruda?* Podczas ich znajomości zmieniała kolor włosów kilka razy. Znali się prawie rok. *Nim umarłem.* Pamiętał jej niewielkie piersi podskakujące nad jego głową, kiedy się kochali. Uwielbiał się nimi bawić. *To jej dom.*

Przypomniał sobie. Nie był związany z jego pracą. *Przedstawiciel medyczny.* Tak zarabiał. Dorota była psychiatrą w jednym z warszawskich szpitali. I jakoś tak wyszło, że wylądowali w łóżku. *Nie szukałem stałej partnerki. Nie miałem czasu i głowy do tego. Zbyt wiele podróży, zbyt wiele pracy. Woląłem pieprzyć czyjeś żony.* Uśmiechnął się.

Nagle usłyszał imię. Adam. *Jej mąż.* Poczuł jak gniew wypełnia mu umysł. Przed oczyma widział tylko wodę i krew. Strugi ciepłej wody zmieszane z krwią. Poczuł tępy ból z tyłu głowy. *To nie dzieje się teraz. To wspomnienie.* Wrzasnął z całych sił i zamachnął się ręką. Usłyszał tylko jak garnek spada z suszarki nad zlewem. Zasnął.

Adam wbiegł do kuchni. Za nim niepewnie weszła Dorota. Na podłodze leżał garnek.

- Widzisz - uśmiechnął się do żony. - Źle go położyłem i spadł.

Spojrzała na niego z irytacją.

- To nie mogłeś go położyć dobrze?

Nie chciał psuć wieczoru, nie odpowiedział. Schylił się złapał za garnek i rzucił go na ziemię. Był lodowaty, jakby wyjęty z zamrażalnika.

- Odłożyć nie potrafisz, podnieść nie potrafisz. Coś kurwa potrafisz?! - krzyknęła ze złością. Adam jakby nie zwrócił na to uwagi. Przez chwilę patrzył w milczeniu na leżący na podłodze garnek.

- Jest zimny - odparł wreszcie.

Dorota poczuła jak rośnie w niej przerażenie pomieszane ze złością.

- Tak, jest wszystko w porządku. W nocy był przymrozek. To naturalne. Już dawno powinienam być w drodze do hotelu.

- Uspokój się, myśl logicznie - Adam starał się zachować kontrolę.

W kilka minut powrócili do stanu kłótni i pretensji, a przecież niedawno jedli kolację i było tak cudownie.

- Adam, do jasnej cholery!? Czy ty jesteś nienormalny? Dzieje się tu coś dziwnego, a ty zachowujesz się jak pieprzony idiota. Kurwa! Zawsze zachowujesz się jak idiota - krzyczała coraz głośniej. - Może nie powinienem być moim mężem, ale jednym z pacjentów? - Spojrzała na niego wyzywająco. - Dawaj kluczyki, ja stąd jadę. Teraz!

Przez całą tyradę Doroty, na twarzy Adama nie drgnął żaden nerw. Jego oczy były również spokojne. Był silny. Musiał ratować małżeństwo.

- Nigdzie nie jedziesz. Wrócisz i zjesz ze mną kolację. Zrozumiałaś?

W pierwszej chwili nie dotarły do niej słowa Adama. Przyglądała mu się jak obcej osobie.

- Jaja sobie robisz? - zapytała wreszcie. - Jadę z tobą albo sama, mi to obojętne.

Podszedł do niej spokojnie i chwycił ją za rękę. Powoli zaciskał palce na jej ramieniu, patrzyła ze zdziwieniem na twarz męża.

- Adam, to boli - jęknęła wystraszona.

Pochylił się i szepnął:

- Wracamy do pokoju zjeść kolację. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Adam uśmiechnął się nieznacznie i puścił żonę. Ruszyli w stronę salonu. Dorota drżała ze strachu i zimna. Z ich ust zaczęły wydobywać się obłoczki pary. Wtedy się zaczęło.

Wiktor znów śnił, ale ten sen był jak film. Oglądał sceny ze swojego życia.

Otrzymał smsa od Doroty. *Zaprosiła mnie do domu.* Wsiadł do swojego Aveo i pojechał za miasto. Nikomu się nie spowiadał z tego wypadu, romans musieli utrzymywać w tajemnicy.

Zdziwiłem się widząc przed domem Cherokee jej męża. Najczęściej jeździła swoim Leonem, auto męża brała tylko, gdy widywali się na krótko. *A więc, to miał być szybki numer.*

Drzwi były otwarte. Wszedł do środka. Żadnego śladu po Dorocie. Zgadł, że jest na górze. Wszedł do sypialni. Tu też nie było kochanki. Zdziwił się i zawołał ją po imieniu. Cisza. Zawołał ponownie. Nagle poczuł mocne uderzenie w tył głowy. Zwalił się na ziemię z przerażeniem i bólem. Chciał się odwrócić, ale nie zdążył, ktoś na nim klęknął i uderzył ponownie.

Teraz we śnie widział z perspektywy kto go zaatakował. Adam, mąż Doroty. *Jeszcze żyłem.*

Później obudził się w łazience. Leżał w brodziku, a po jego głowie ciekły strumienie wody. Adam stał nad nim i chyba się zastanawiał co zrobić, a może chciał mu coś powiedzieć. Wyglądał tak spokojnie. Jakby nic się nie stało, jakby to nie on przed chwilą próbował zabić człowieka. Wiktor próbował coś powiedzieć, ale słowa nie mogły mu wyjść z gardła. Śniącemu Wiktorowi zrobiło się sobie żal. Był taki bezbronny. Adam odwrócił się w stronę brodzika. Chyba chciał coś powiedzieć, jakby się wahał co zrobić, wreszcie uniósł do góry wielki klucz francuski i rzucił się na Wiktora. Ten podniósł ręce, ale uderzenie było silne. Klucz przedarł się przez obronę i trafił go w głowę. Strumienie wody mieszały się z krwią, zalewając oczy umierającemu. Napastnik uderzył jeszcze kilka razy martwą już ofiarę. *Potraktował mnie jak wściekłego psa. Za co? Za to, że pieprzyłem jego żonę? Sama wlała mi do łóżka. Miałem tylko trzydzieści lat, życie przed sobą. A przecież, to ona wysłała smsa, wiedziała o tym. To była jakaś chora pieprzona gra? Boże, za co?*

- Boże, za co?! - obudził się z krzykiem.

Zobaczył jak stoją w kuchni. Adam i Dorota. Suka, która go zwabiła i bydlak, który odebrał mu życie. Zaczął w nim rosnać gniew. Zawładnął jego umysłem. Musiał ich ukarać.

Wszystkie naczynia i sztucce spadły z hukiem z suszarki, jakby coś w nie uderzyło.

- Adam - szepnęła przerażona Dorota.

Jej mąż w jednej chwili stracił całą pewność siebie. Jak zahipnotyzowany, zaczął iść w stronę pokoju. Dorota nadal stała w kuchni. Patrzyła jak stół i lodówka zaczynają dygotać.

- Adam, to trzęsienie ziemi, prawda? - zawołała śmiejąc się histerycznie.

Wszystko zamilkło.

- Widzisz, zwykły wstrząs, a mówią, że w Polsce to taka rzadkość - pocieszała się.

Jej mąż milczał. Zachowywał się dziwnie. Szedł w stronę stołu, jakby miał zamiar spokojnie dokończyć kolację.

Nagle Dorota poczuła uścisk na gardle. Zimne dłonie, zaczęły ją dusić. Zaczęła machać w powietrzu starając się odpędzić napastnika, ale tam była pustka. Adam spojrział na nią wzrokiem pełnym przerażenia i szaleństwa.

- Dorota, to on. Widzę, jak cię trzyma. To twoja, wina. Musisz ponieść karę - mówił łamiącym się głosem.

Duch obrócił głowę w jego stronę i puścił ofiarę. Przez krótkie mgnienie, Dorota zobaczyła rozmazaną sylwetkę mężczyzny. Rozpoznała go, to był Wiktor.

Adam w tym czasie rzucił się w stronę drzwi. Rozległ się głośny ryk, przypominający granie na rogu i wielka siła rzuciła Adamem przez pokój. Przeleciał kilka metrów i wylądował na stole w salonie, strącając talerze i kieliszki. Sturlał się i wpelznął pod stół, jakby to mogło go uratować.

- Adam, co ty zrobiłeś? Zabiłeś Wiktora?! - wrzasnęła Dorota. W tym momencie zrozumiała dlaczego jej kochanek zniknął tak nagle.

- Zasłużył na to, pieprzył cię! Ty, też powinnaś zginąć! - odpowiedział. I nagle przeraźliwie krzyknął, bo poczuł jak niewidzialna siła chwyta go za nogi i wyciąga spod stołu.

Patrzyła jak jej mąż wisi do góry nogami pod sufitem i błaga, przeprosza i przeklina jednocześnie. *Wiktor zginął w tym domu. Duch jest tu zamknięty.* Spojrzała na okno w kuchni i nagle poczuła ogromną energię. Złapała za jedno z ciężkich krzeseł, stojących przy stole i z siłą, o którą by się nie podejrzewała cisnęła nim w okno. Nie rozbiła go. Krzesło upadło obok. Na szybie pojawiła się szklana pajęczyna. *Że też musiałam zamówić tak dobre okna.* Adam nagle spadł na ziemię. *Teraz moja kolej. Nie mam wyboru.* Nadludzkiem wysiłkiem rzuciła się w stronę okna i skoczyła na szybę. Poczuła lodowaty chłód na kostkach, a później ostre uderzenia drobnych szkiełek tnących jej twarz i ręce. *Nie zdążył!* Upadła na twardy żwir na podjeździe. Zaczęła czołgać się w stronę samochodu. *Nie mam kluczyków.* Z domu wyrwał się przeraźliwy wrzask. Nie przypominał głosu Adama, ale wiedziała, że to on.

Śniła koszmar. Coś niezrozumiałego. Dziwne barwy i istoty przypominające krzyżówkę ludzi ze zwierzętami. Jakieś potwory, karły, pająki, piękni mężczyźni, tysiące barw. Wszystko tańczyło przed jej oczami.

Otworzyła oczy. Bolała ją głowa i ręce. Całe ciało. Rozejrzała się i na jej ustach pojawił się uśmiech. *Jestem w szpitalu.* Nie pamiętała co się stało. Ale musiała mieć wypadek, który spowodował amnezję. *Zaraz sobie wszystko przypomnę. Muszę być spokojna.* Usiadła na łóżku. Znała ten szpital. *Leżałam już w nim kiedyś? To szpital psychiatryczny. Pamiętam go.* Chciała zeskoczyć z łóżka by uciec z tego pokoju, odnaleźć personel i wyjaśnić co się stało. Lecz nagle poczuła senność. *Ale za moment. Muszę się najpierw zdrzemnąć.*

Skuliła się na łóżku i zasnęła.

EISERNE DROSSEL

pani Szapocznikow zmienia miejsce zamieszkania

pani alina wyprowadza się z ciał. swego czasu tułała się po świecie
- od terezina po litzmannstadt, do tej pory jednak nie wyjeżdżała tak daleko.
w ramach przygotowań zebrała kapitał doświadczeń, część rozmieniła na drobne
przyjemności: czerwoną szminkę i proszki, które upłynniają granicę

między ulgą a znużeniem. podobno praca czyni wolnym. pani alina ciągle pracuje
nad sobą. dzięki pigułkom może wyjść po bułki, ale coraz częściej wychodzi z siebie.
beźmiar własnych ograniczeń uderza ją na odlew. wyostrza kontury
i napełnia kształtem - nie nosiła w sobie tyle treści nawet gdy miała biust.

wtedy wyglądała pięknie, teraz wygląda przez okno.
przed wyjazdem pani alina szuka biura podróży. chce, aby wyprawa,
do której przygotowywała się całe życie, przebiegła bez problemów.
dlatego kartkuje prospekty.

pani alina nie może zasnąć. czeka na ból, który nie przychodzi.
w ten sposób zauważa, że nie chce nigdzie jechać.
spróbuje zadzwonić, przebukować.

rano ktoś zatelefonuje z jej sypialni do innej firmy.

EISERNE DROSSEL

pani Szapocznikow

pozbywa się majuskuły

pani alina w imię sztuki rezygnuje z wielkiej litery. piękno wymaga wyrzeczeń, dlatego wcześniej wyparła się szczotki do włosów i bluzek z dużym dekoltem. ale w pierwszej strofie nikt tego nie wiedział.

jak przystało na porządnie poprowadzony utwór wiersz napisany kobietą wyciekał spomiędzy, kapał na głowy przechodniów i dachy kamienic. kiedy wprawna ręka oddzielała dźwięki od strun, salę operacyjną wypełniała muzyka. wspomnienia pani aliny też pachniały

szopenem, chociaż nigdy nie brzmiały czysto. bergen-belsen chrzęściło pod językiem. w trzeciej strofie pani alina zdała sobie sprawę, że ostrze, które wchodziło w nią jak się wchodzi w poezję, wytyczyło granice między ciałem a metaforą - rozciągającą się stąd, aż po wielką literę. to nieskończoność anaksymandra,

którą pani alina będzie opowiadać minuskułą. drobnym ściegiem zszyje skrawki, że znaku nie będzie. zechce zachować wszystko, co chirurg odrzuci od siebie, te tampony i nożyczki. w czwartej strofie czytelnik dowie się, że pani alina nigdy nie wyrzuci swoich biustonoszy.

3 lipca 2012

WIKTORIA

Abonent

nie umiem jeszcze wrosnąć w ciebie do końca
kiedyś rozwlekłam się aż do niewidzialności
plącząc się po dniach i nocach bliżej było do ognia

teraz rozsadasz drzewa które wskazują kierunek
zapachem kory otworzyłeś oczy żebym miała szlak przed sobą

póki co tłukąc się o kamienie ze złożonymi rękami
wypuszczam liście wpatrzoną bezgranicznie

wiem czym napełniać wazony na razie w mikroskali
trenuję odrastanie od ziemi cały czas w zasięgu

ANNA ZAJĄC

Strażnik plaży

*Jakże odwdzięczę się morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zabłąkań?
Jakże odwdzięczę się słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąka?*

Plan był prosty. Wyznaczona osoba miała wstać przed innymi, koło siódmej rano, skoczyć do sklepu po chrupiące bułki, żółty ser i mleko dla całej ekipy, i przed ósmą pognać na plażę, żeby zająć jak najlepsze miejsce, tuż nad morzem. Tak, tylko komu w czasie wakacji będzie chciało się wstać tak wcześniej? Kto poświęci kilka godzin słodkiego snu dla wygody innych? Oczywiście padło na mnie. Stanowczo za miękkie mam serducho.

Plan, planem, jednak z wykonaniem gorzej: bo jak udźwignąć trzy wielkie koce, które chcieliśmy rozłożyć? Udźwignąć może jeszcze dałabym radę, ale z niesieniem kłopot. Bo to dość nieporęczne, wielkie, wełniste i gryzie pod pachą... No, nic. Słowo się rzekło. To w końcu tylko kilka przecznic: ul. PCK - cóż za szlachetna nazwa, potem Walecznych - jeszcze lepiej! Przy torach tramwajowych ręce mi już omdlewały, a nie byłam nawet w połowie drogi. Cisnęłam koce na przystankową ławkę: miałam dosyć. Dlaczego któryś z facetów nie wstał rano?! Wzięłam kilka głębszych oddechów, ramieniem przetarłam spocone czoło i nos, z którego jak z kranu leciały słone krople i, prowadzona jedyną odświeżającą myślą, że będę pierwsza na plaży i jako pierwsza wykąpię się w chłodnym jeszcze o tej porze morzu, podniosłam upiorny bagaż i ruszyłam dalej.

Po lewej minęłam miniaturowy kościółek pod wezwaniem św. Antoniego. Jakie to dziwne. Od lat spędzałam tu wakacje, dziesiątki razy przechodziłam obok niego, a jeszcze nigdy nie byłam w środku. Obiecałam sobie solennie, że wieczorem, no, najdalej jutro, tam zajrzę. Jednak od chwalebnych myśli natychmiast oderwał mnie wielki napis nad lichą budą: Lody! Tak, to było to, czego mi było trzeba. Stałam przy okienku i zaczęłam już werbalizować zamówienie na podwójne, truskawkowe z polewą karmelową, gdy doszło do mnie, że nijak nie będę mogła ich skosztować. No,

bo jak z tym tabunem koców pod pachą? A jak dosięgnąć do kieszeni z drobnymi? Odeszłam niepokieszona, ale jednak za darmo doznałam lekkiej ulgi: ślinianki zaczęły działać i mogłam w końcu zwilżyć wyschnięte na wiór, pękające już usta. Dalej też nie było łatwo. Kocie łby zaczęły dawać mi się we znaki. Japonki spadały ze stóp, ślizgając się na rozjeżdżonych, nierównych kamieniach. Że też nie położyli tu asfaltu, albo co najmniej kostki brukowej, jak w większości nadmorskich kurortów. Ale nie! Brzeźno zachowuje swoją tradycję rybackiej wioski. Szkoda, że kosztem moich nóg...

Jeszcze tylko Pułaskiego i Miła i już zobaczyłam gładkie jak stół morze, gdzieś tam tylko poprzecinane białą wstążeczką piany. Lekki, ożywczy wietrzyk ślizgał się po mojej spoconej skórze, a umówione wejście na plażę numer dwadzieścia osiem uśmiechało się do mnie z daleka. Dlaczego dwudzieste ósme? Bo było dla nas optymalne, sprawdzone metodą prób i błędów przez ostatnie lata. Było najbliżej całkiem przyzwoitego baru, z całkiem przyzwoitą obsługą, nie wspominając wspaniałej klienteli, nie z lokalnymi żułami, ale niezwykłą cyganerią goszczącą letnią porą na wybrzeżu. Ciekawymi ludźmi, artystycznymi duszami, z którymi przy kuflu zimnego piwa zawsze można było o czymś interesującym lub całkiem błahym porozmawiać. Kolejną zaletą tego miejsca były przepiękne i zawsze czyste toalety, co przy spartańskich, plażowych warunkach dawało choć na chwilę możliwość pławienia się w luksusie. Sama nie wiedziałam, jak to robią, ale nigdy jeszcze nie widziałam tam nawet ziarenka piasku na marmurowej posadzce, choć sama wносиłam ich tony na plażowych klapkach.

Wejście dwudzieste ósme wessało mnie do krainy ciepła, piasku, wydm i morza. Jednostajny szum tego ostatniego był balsamem dla uszu. Uwielbiałam tę muzykę; kołysała mnie, zniewalała, wciągała w wyimaginowany świat, jak syreni śpiew na południowych wyspach. Stałam pośrodku pustej jeszcze plaży, zakochana w tym widowisku natury, otumaniona przestrzenią, głębią koloru wody, jasnymi plamami mielizn i białymi koronkami przybijających do brzegu fal. Chyba za długo tak stałam, bo nagle usłyszałam pytanie:

- Pierwszy raz nad morzem? - *Głos całkiem niczego sobie* - pomyślałam, zanim spojrzałam na rozmówcę. - *Przynależna reszta także niezła* - dodałam w duchu, spojrzawszy na młodego mężczyznę. Wysoki, niezłe zbudowany brunet z ognikami w oczach, ale jakimiś takimi smutnymi...

- Nie, ja tutejsza - odezwał się w końcu - ale ten widok zawsze mnie zachwyca.

- Tak, jak mnie - odparł zapatrzony w horyzont. - *Dobrze, że w horyzont, a nie na mnie* - przemknęło szybko. Nie wyglądałam zbyt atrakcyjnie. Zlepione potem włosy gładko przylgnęły do czoła, ramiona uwalane kłaczkami mieniły się różnymi kolorami niesionych koców. Zmęczone marszem stopy puchły na różowo w powoli rozgrzewającym się piachu. Staliśmy oboje zapatrzeni w przesuwające się na horyzoncie, ledwo widoczne, zamglone sylwetki statków. Jakbyśmy oddawali hołd matce naturze; jednoczyli się modlitwą z siłami przyrody: wody, powietrza; jakbyśmy stawali się przestrzenią...

*Cóż Ci oddam za tę bliskość,
którą w takim rozniecasz bezmiarze,
jak ogniska,
jak serca w równowadze -*

- Chyba w końcu rzucę te toboły - przerwałam nagłą ciszę.

- Tak, tak - oderwał się od swoich myśli. - Dobrego dnia! - powiedział i odszedł w stronę miasta.

- *Dobrego dnia?! I tyle?! - moja kobieca natura zaczęła się odzywać. - A do widzenia? Może jeszcze się spotkamy?* - Naiwna! Taki facet wymykał mi się z rąk... To znaczy z rąk wymknęły mi w końcu te wszystkie nianczone pieczołowicie pledy i spadły na piasek z niemym westchnieniem.

- *Spójrz na siebie! Kto normalny zaproponowałby ci kolejne spotkanie? No, tak* - sama sobie odpowiedziałam. - *A mogło być tak pięknie...* - zanuciłam pod nosem, rozkładając trzy wielkie koce tuż przy granicy przypływu.

Po krótkiej kąpieli w chłodnej, bałtyckiej wodzie, w końcu zaległam, napawając się ciszą poranka, szumem fal i rozgrzewającym się piaskiem. Przymknęłam oczy i powoli zapadałam w letarg, przynoszący odległe wspomnienia.

Mama zbierała kartki pocztowe, widokówki. Nie żeby je kupowała, ale korespondowała z rodziną rozsianą po całym świecie. A ci listy ślali... Czasem pisane maczkiem na prawie przezroczystym, delikatnym, cieniutętkim i błękitnym papierze lotniczym, często tak dziwnie pachnącym... Wyobrażałam sobie jak przechodzą z rąk do rąk, ze skrzynki pocztowej do urzędu, do samochodu, do samolotu. Jakby żyły własnym życiem, niezależnym od nadawcy i odbiorcy i docierały dopiero wtedy, gdy uznały to za stosowne. Oprócz listów rodzina wysyłała pocztówki z dalekich wypraw czy wycieczek. Kilka prostych słów, mówiących o tym, że pamiętają, że świat jest piękny. I te widoki na odwrocie! Oglądając je, można było zachłysnąć się zachodnim światem, cudami, których nie dane nam było jeszcze podziwiać.

Dostała kiedyś pocztówkę z posągiem Chrystusa z Rio de Janeiro na tle zachodzącego słońca. To było wspaniałe zdjęcie! Zachwycałam się nim do granic mojej dwunastoletniej wytrzymałości. Posąg tonął w mrokach, był już prawie czarny; ręce Chrystusa, rozłożone na tle niesamowitego nieba, mieniącego się wszystkimi odcieniami złota i czerwieni zapierały mi dech w piersiach. Fizycznie czułam chłód cienia i ostatni dotyk słonecznego ciepła. I ta niesłychana ostrość obrazu... Widokówka była dla mnie niemal jak święty obrazek z kościoła. Uprosiłam mamę, żeby dała mi tę kartkę. Tak to się zaczęło.

Zaczęłam kolekcjonować zachody słońca. Miałam zeszyt, do którego wklejałam wszystkie napotkane kartki, wycinki z gazet. Zeszyt rósł w oczach. Jakość zdjęć wycinanych z czasopism pozostawiała dużo do życzenia, ale od czego dziecięca wyobraźnia? Pławiłam się w tym zachodzącym słońcu przez lata. Dostałam kiedyś widokówkę od koleżanki z kolonii (już wtedy wszyscy wiedzieli o moim słonecznym hobby), ale nie byłam w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy był to zachód, czy wschód słońca... Rozpalona na różowo słoneczna tarcza, jakieś szarości, lekka mgła... - Może to zdjęcie zimowe? - myślałam. Trochę zastanawiałam się nad tym i w końcu doszłam do przekonania, że to musi być zachód słońca: żaden fotograf nie wstaje tak wcześnie, żeby zrobić zdjęcie wschodowi słońca. Naprawdę w to wierzyłam! Dopiero dziś, gdy sobie to przypomniałam, zrozumiałam w jakiej niewiedzy żyłam mając trzynaście lat.

I wtedy przyszło to lato. Moje pierwsze na plaży.

Mama pojechała do ciotki Marysi, do Rzymu. Poprzednio była u niej jeszcze przed moim urodzeniem. Był to dla niej wymarzony urlop, wyrwanie się z komunistycznej szarości dnia codziennego, dla nas trochę zamieszania w domu. Decyzja jednak została podjęta: na te dwa tygodnie przeprowadzam się do ciotki Ewy, do Brzeźna. Dla mnie było to wyzwanie, nowy świat, samodzielność... Jedynym obowiązkiem było wyprowadzanie na spacer Safiego, Ewy psa. Oczywiście chodziłam z nim na plażę. Spędzaliśmy tam całe godziny na zabawie. Safi, przeuroczy kundel o biało - rudo - czarnej sierści, skory do figli i wszelakiej radości, gdy już się wyganiał, siadał przy mnie i razem oglądaliśmy znalezione muszelki czy bursztyny. Wspólnie czekaliśmy na zachód słońca.

Napawałam się kolorami, ciepłem i nostalgią odchodzącego dnia. Do dziś, zawsze wieczorem zatrzymuję się w codziennym biegu i choć na chwilę zamykam oczy, kierując twarz ku słońcu, ciesząc się przebijającym przez powieki światłem.

Ze wspomnień wyrwała mnie hałaśliwa gromadka przyjaciół. Plecy zaczynały mi się przyrumieniać, choć wcale tego nie czułam, owiewana lekką bryzą.

- Ale cię strzaskało! - krzyknął Marcin, kładąc się na pobliskim kocu i obsypując mnie obficie lawiną ziarenek piasku.

- Myślałam, że wcale nie przyjdziecie - złośliwie spojrzałam na zegarek. Chyba lekko przysnęłam, bo zbliżało się już południe. Zostawiłam rozkładające się na kocach bractwo i poszłam ochłodzić się do morza.

Czas nad wodą bardzo szybko płynie. Człowiek nigdy się nie nudzi, przynajmniej nie w tak doborowym towarzystwie jak nasze. Śmiechy i zabawy przeplatane kąpielami i obowiązkowymi wizytami w zaprzyjaźnionym już barze, zajęły nam cały dzień, który ukoronowaliśmy późnym obiadem z wędzonym na gorąco łososiem w roli głównej.

Kolejka do łazienki, żeby spłukać z opalonego ciała resztki piasku nikomu się nie przykrzyła. Nadal w świetnych humorach czekaliśmy wieczoru, by odbyć mały spacer deptakiem w stronę Jelitkowa, gdzie miał się odbyć koncert lokalnej grupy szantowej.

- Chyba założę już długie spodnie, wieczorem może być zimno - mruknęła Iza, przebierając rękoma w przepastnej szafie. - Aśka, jak myślisz? - spojrzała na mnie, jakbym była wyrocznieją w sprawach nie tylko mody, ale i meteorologii.

- Może być chłodno, ale nie musi - odparłam filozoficznie ze śmiechem na ustach. - A kostium bierzesz? - zapytałam szybko, próbując wybadać plany przyjaciółki.

- Po co? Przecież nie będziemy się już kąpać - zbagatelizowała sprawę.

- No, ja nie wiem - szepnęłam pod nosem, bo czułam, że wieczór może jeszcze nas wszystkich zaskoczyć. Wyciągnęłam moją ulubioną, długą sukienką i z czułością pogłaskałam niegniotący się materiał. Była idealna na letni spacer: przewiewna, z dużym, choć „bezpiecznym“ dekoltem, odsłaniająca ramiona i świeżą opalenizną pleców. Dobrze się w niej czułam, mając jednocześnie świadomość atrakcyjności wyglądu. Marcin aż gwizdnął przeciągle, za co natychmiast dostał od Izy szturchańca, a ode mnie prztyczka w nos. Roześmialiśmy się wszyscy. Od lat wiedziałam, że są parą i nie było mi w głowie tego niszczyć. Tak, jak nigdy nie przyłożyłabym ręki do skłócenia Piotra z Marzeną, drugiej pary, z którą spędzałam wakacje.

Naładowani pozytywnymi myślami i wyśmienitym humorem, ruszyliśmy na podbój wieczoru.

Droga z Brzeźna do Jelitkowa to około czterokilometrowy deptak z piękną, nowiutką kostką brukową, a nie kocimi łbami, jak na wąskich brzeźnieńskich uliczkach. Nie musiałam się więc martwić o ewentualne nadwyrężenie kostki. Jedynym niebezpieczeństwem były jeżdżące rowery, bo miejscami wyznaczona dla nich ścieżka znikwała, zapomniana przez architekta lub wykonawcę drogi...

Zatrzymywaliśmy się czasem przy różnokolorowych kramikach, oferujących pamiątki z nad morza. A to czapki marynarskie, a to miniaturowe latarnie morskie na gipsowych podstawkach obsypanych muszelkami, fikuśne buteleczki z piaskiem z Bałtyku czy inne, w podobnym guście durnostojki. Kolonijne dzieci masowo oblegały stoiska, pragnąc zabrać do domów kupione za grosze, a jednak tak cenne pamiątki z wybrzeża. Może staną na półkach koło „Wyspy Skarbow” Stevensona czy „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej podróży” Verne’a. . Może po latach przypomną o pierwszej kolonijnej miłości, a może przepadną na zawsze przy najbliższych świątecznych porządkach. Kto wie, jaki los je czeka...

Szliśmy na zachód, pod słońce, które wciąż jeszcze dość mocno grzało, choć zbliżała się już ósma. Złote loki dziewcząt i nasze roześmiane twarze przyciągały łakome spojrzenia mężczyzn. Wszystkie trzy śmiałyśmy się z tego, nie przeszkadzało zainteresowanie męskiej części społeczeństwa, a wręcz przeciwnie: uskrzydlało, dodawało pewności siebie i dobrego nastroju. Tylko Piotr z Marcinem jakoś dziwnie rzucali gromami z błyszczących oczu.

Po półtoragodzinnym spacerze dotarliśmy w końcu do „Klipera“, niewielkiej tawerny usytuowanej bezpośrednio na plaży. Wejście, udekorowane morskimi atrybutami: kołem sterowym, zardzewiałą kotwicą i okrętowymi linami, wiodło przez obszerny taras do kameralnego wnętrza. Większość letnich imprez odbyła się właśnie na tarasie, więc wewnątrz było dość niepozorne, niewielkie, choć bardzo przytulne. Długi bar z zapasami wybornych i tych mniej ciekawych światowych marek trunków oraz olbrzymia beczka piwa, kusiły różnorodnością. Jednak wszyscy mieliśmy świadomość, że mieszać nie wolno. Zdecydowaliśmy się na lokalny, gdański wyrób gorzelniany: piwo „Hevelius“. Zajęliśmy ostatni wolny stolik, tuż przy miejscu przygotowanym dla kapeli i powoli sącząc zimny napój, oczekiwaliśmy występu szantowców.

- Ale przystojniak! - pisnęła Iza, wskazując brodą na wchodzącego na drewniany podest pierwszego z muzyków. Podążyłam za jej wzrokiem i niemal się nie zakrzusiałam. To był spotkany rano mężczyzna, którego odejście bez słowa troszkę szturchnęło moją kobiecą dumą. Zaczęłam kasłać piwem, podnosząc do góry obie ręce. Zaciekawiony zamieszanym przy najbliższym stoliku, spojrzał w naszą stronę, jednak nie zdradził się choćby nikłym uśmiechem, że mnie poznaje.

- *I dobrze* - pomyślałam - *rano nie wyglądałam najlepiej, teraz to co innego. Tylko znów się publicznie wygłupiłam* - skarciłam się szybko. Chwyciłam za leżącą na stole ulotkę dotyczącą mającej wystąpić grupy i, zerkając na gitarę muzyka, zaczęłam się zastanawiać co to za rodzaj instrumentu.

- To gitara basowa, prowadząca czy jaka? - infantylnie zapytałam siedzącego obok mnie Piotra. Nie znałam się na instrumentach, z muzyką też niewiele miałam do czynienia. Śpiewać nie potrafiłam, fałszowałam okropnie, ale nie przeszkadzało mi to jednak we wspólnym wydzieraniu się na plaży czy przy ognisku.

- To akustyczna - zawyrokował Piotr, który zupełnie nie zdawał sobie sprawy z toczącej się wokół niemej rozgrywki.

- Dobry wieczór, Michale - szepnęłam raczej, niż pomyślałam, wycytując imię muzyka z kolorowej ulotki. - Mam cię! - Byłam o krok do przodu we wzajemnej prezentacji. Postanowiłam ignorować bliskość sceny i solennie sobie obiecywałam, że nie podejść do niego i nie zapytam: „Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się rano w Brzeźnie“. Jednak alkohol rozwiązuje języki i dodaje odwagi w zawieraniu nowych znajomości. Tego się obawiając, nieprzyzwyczajona do większych dawek napitków, wiedziałam, jak może się to skończyć. - *Muszę coś zjeść, żeby nie zasumiało mi w głowie.*

- Może teraz coś zamówimy, żeby potem nie opuścić występu? - zapytałam niewinnie.

- Ty, to masz głowę na karku - podchwyciła Marzena. - Pójdę i wezmę flądry z frytkami. Słyszałam, że ktoś chwalił - powiedziała, wstając.

- Ja i głowa na karku! - zaśmiałam się w duchu. Nie zdradziłam jeszcze przed przyjaciółkami emocji rozgrywających się we mnie, ani - tym bardziej - porannego spotkania. Po co wzbudzać w nich nadzieję na znalezienie mi mężczyzny życia? Już dawno przestały umawiać mnie na randki w ciemno. Przyzwyczaiałam się do samotności i było mi z tym dobrze. No, czasami tylko doskwierało...

Występ rozpoczął się koncertowo, z głośnym uderzeniem w struny, wesołą harmonijką i nieco ochryplym głosem wokalisty. Od razu pożałowaliśmy tak usytuowanego stolika, bo niby blisko do występujących, ale za to hałas z wystawionych tuż przed nami kolumn zagłuszał nie tylko rozmowę, ale i myśli nawet...

Jednak zabawa rozkręcała się na dobre. Wszyscy widzowie głośno śpiewali, nie szczędząc dłoni do klaskania czy wybijania o drewniane białe stołów rytmu piosenek. Dałam ponieść się klimatowi morskich opowieści, czasem nawet roniąc łzę przy smętnych, przepełnionych tęsknotą, marynarskich balladach. Rzewność niektórych tekstów naprawdę mnie rozczulała, powodując gęsią skórę na ramionach, a kładące się do snu wieczorne słońce robiło resztę. Zauroczone patrzyłam na Michała szczupłe palce, wdzięcznie przesuwające się po strunach gitary. Nie podjęłam jednak żadnych kroków do bliższego poznania. Zawładnęła mną li tylko muzyka; przepełniała duszę i ciało, nie zostawiając miejsca na przyziemne uczucia. Raz tylko uchwyciłam jego wzrok ze smutkiem w brązowych oczach. Patrzył na mnie, a jakby przeze mnie, gdzieś w przestrzeń. Spojrzył na wokalistę i kiwnął głową, ponownie spoglądając w moją, wydawałoby się, stronę. Powiodłam oczyma za jego wzrokiem. Słońce powoli zniknęło za horyzontem. Wokalista skończył piosenkę, ogłaszając krótką przerwę na... obejrzenie zachodu słońca. Jak na rozkaz wszystkie twarze obróciły się w tamtą stronę. Z kieszeni, torebek i innych ukrytych miejsc wypełzły aparaty fotograficzne i komórki, klikając co chwila cyber - dźwiękami.

- Maniak słoneczny, jak ja? - zmrużywszy oczy, przyglądałam się Michałowi. Skinął głową w ledwie zauważalnym ruchu, jakby w odpowiedzi na nie wyartykułowane jeszcze głośno pytanie.

*Cóż Ci oddam za tę poufałość,
którą w dziecięcym spojrzeniu
nawiązujesz, a kończysz chwałą
nieosmuconą w odcieniu -*

Zrobiło mi się gorąco. - A więc jednak coś jest na rzeczy. Czy to tylko moja wyobraźnia?
- Wstałam energicznie od stolika i poszłam z innymi podziwiać ten codzienny, a jednak zawsze

wspaniały cud natury. Staliśmy całą piątką, objęci ramionami i zapatrzeni w zachodzącą, rozpaloną tarczę. Ktoś z boku głośno odliczał sekundy do całkowitego zniknięcia słońca, ktoś nawoływał rozbiegane dzieci, jednak wszystkie serca i nieco rozchwiane już kroki tawernianego tłumu kierowały się ku zachodowi.

Zniknął mi sprzed oczu widok plaży. Wróciły wspomnienia.

Doskonale pamiętam uczucia, które towarzyszyły wyjmowaniu ze skrzynki pocztowej ostatniej przesyłki od ojca. Rozemocjonowanymi niecierpliwością dłońmi nie mogłam przekręcić małego kluczyka w zamku, a tam czekała na mnie nowa widokówka. Przez niewielkie szczeliny aluminiowego pudełka widziałam żółto - czerwone, tak ukochane barwy słońca. Wreszcie dosięgnęłam długo oczekiwanej kartki. Wielka słoneczna tarcza złościła dwie kopuły i kilka minaretów świątyni siódmego i dziewiątego Imama Iraku. Ojciec pracował tam na budowie już ponad rok, pisał: „Wracam za dwa tygodnie. Całuję. Wasz R.“. Nie wrócił nigdy, zginął w przypadkowym wypadku na ruchliwych ulicach Bagdadu.

Zamknęłam oczy. - *To było tak dawno, nie wolno mi teraz płakać* - zacisnęłam zęby i powoli wróciłam do stolika. Michał zniknął z myśli przywołanymi wspomnieniami. Sięgnęłam po piwo, nie dopuszczając więcej do głosu smutnej przeszłości. Nie byłam egoistką, nie chciałam zepsuć przyjaciółom tak świetnego wieczoru.

Po krótkim oczekiwaniu grupa znów uderzyła w struny, wyzwalając kolejne salwy śmiechu, gromkich braw i coraz bardziej podпиты głosów. Marcin z Piotrem, w pierwszym rzędzie, swoimi barytonami wspomagali jak mogli ochryplego wokalistę, a ja z dziewczynami w regularnym chórkę żeńskim wtórowałam w refrenach. Noc była piękna! Humory dopisywały coraz bardziej, aż nadeszła ochota na to, co niedozwolone: kąpiel w nocy, po pijaku. Nie pamiętam, kto pierwszy na to wpadł; może Marcin, bo był już nieźle podchmielony pomimo pochłoniętej olbrzymiej porcji frytek, może ja, żeby oczyścić ciało i lekko szemrzący nocnym przypiływem umysł... Faktem jest, że porzuciliśmy rozśpiewany i roztańczony miejscami podest tawerny i odbiegliśmy kilkadziesiąt metrów w głąb ciemniejącej plaży. Gwiazdy coraz mocniej świeciły, a łysy odbijał się księżycowo w lekkich falach przypiływu. Bezwstydnie zrzuciliśmy ubrania na chłodny już piasek i biegiem wdarliśmy się w ramiona przybijających do brzegu fal. Ach, co to była za kąpiel! Bez ograniczeń, bez zahamowań, z całą radością młodego ciała, wolną duszą i oddaniem naturze. Czułam jedność z morzem, wyrytym pływami, ukształtowanym we wzgórkach i dolinach twardym, choć piaszczystym dnem, z ocierającymi się o ramiona, przezroczystymi meduzami. Leżałam na plecach, poddając się falam, ich leniwemu kołysaniu, uwodzeniu, czując każdą cząstkę skóry potęgę morza i jego tłamszoną brakiem wiatru moc. Chciałam tak ciągle, jednak powolutku wracająca trzeźwość umysłu nie pozwalała na lekkomyślne zachowanie. Znałam morze. Wiedziałam, że fala w kilka minut może znieść mnie o wiele metrów od miejsca startu. Podniosłam głowę ponad szemrzące fale, ale nie dobiegały mnie już nawet dźwięki z „Klipera“, a jego światełka blado lśniły w oddali. Zaczęłam miarowo ciąć ramionami wodę i stopniowo przybliżałam się do żarzącego czerwieni neonu tawerny. Na brzegu stała obrażona Iza.

- Czyś ty oszalała?! - krzyknęła, podając mi sukienkę. - Wszyscy już dawno wrócili! Tylko ja, jak patyk tu sterczę! Nawet impreza się skończyła! - obróciła się na pięcie i odeszła w kierunku tawerny, grzęznąc po kostki w zimnym piachu.

Zostałam sama na środku nocnej plaży. Wyjęłam mokre włosy i z trudem włożyłam sukienkę. Iza miała rację, za długo oddawałam się morskim, otumaniającym igraszkom. Objęłam dłońmi chłodne ramiona i usiadłam na kępie trawy, tuż przy wydmach. Włosy leniwie oddawały ostatnie krople słonej wody na rozgrzane opalenizną i pływaniem plecy.

- *Trochę sobie posiedzę, zanim do nich wrócę* - pomyślałam i zapatrzyłam się w Wielką Niedźwiedzicę. - *Dziś noc spadających gwiazd. Może jakaś przyniesie mi szczęście?...*

Nie wiem, ile czasu tak siedziałam zapatrzona w gwiazdy i ogromny księżyc. W pewnym momencie ktoś dotknął mojej dłoni.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście - odparłam zgodnie z prawdą. Głos jednak wydawał się znajomy, więc przekrzywiłam głowę, żeby przyjrzeć się rozmówcy. W nocnym, księżycowym świetle zobaczyłam smutne oczy Michała. Nieco zaskoczona, zapytałam:

- Co tu robisz o tej porze? - Co prawda nie miałam pojęcia, która może być godzina, ale ich występ dawno się przecież skończył.

- Jestem Strażnikiem plaży - powiedział. - Pilnuję zagubionych duszyczek, takich jak ty.

- Nie jestem zagubiona - odparłam natychmiast.

- Trochę jesteś. - Usiadł obok i przygarnął mnie ramieniem. - Trochę jesteś, widziałem to już rano i podczas koncertu. Później gdzieś mi zniknęłaś, ale cię znalazłem.

*Cóż Ci oddam za tę bezbronność,
która nie skąpi mi dnia
przecież Ci, Panie, nie wolno
ufać takiemu jak ja.*

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Głos ugrzązł mi w gardle. Milczeliśmy razem, a ta cisza nie była zła. Wypełniała nas doszczętnie, wypowiadała niewypowiedziane, nie do końca pomyślane nawet. Jakbyśmy byli jednością bez niedomówień, bez obietnic, bez niepotrzebnych przyrzeczeń. Jakbyśmy chłonęli wzajemne historie przez szum wiatru, gwiazdy, skrzypiący pod stopami piasek i falujące morze. Tu i teraz. Połączeni słońcem, czekaliśmy świtu.

- Michał jestem - odezwał się z pierwszym, różowym promieniem.

- Joanna - wyciągnęłam dłoń.

- Więcej nie będę cię szukał - spojrzał groźnie.

- Więcej się nie zgubię - obiecałam.

*Jakże odwdzięczę się morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zabłąkań?
Jakże odwdzięczę się słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąką?*

W tekście wykorzystano „Pieśń o słońcu niewyczerpanym“
słowa: Karol Wojtyła
muzyka: Seweryn Krajewski

SHECAT
dłatego

nie wnikaj
obejmuję ustami i dmucham zamiast ciągnąć

nabierasz kształtu

WASINKA

Lzy słończnika

Wrócili znowu razem. Zamknięci w rozpaczny pokój, od nowa potęgowali swój dramat. Mężczyzna usiadł, schował twarz w dłoniach. A ona przypatrywała się smutkowi, tak bardzo kaleczącemu duszę. Stała w oknie, próbując opanować bolesną chęć podania mu dłoni, która kiedyś łagodziła każdy niepokój. Teraz nawet by jej nie zauważył. Trwała tak w milczeniu, a światło przepływało spokojnym oddechem przez jej drobną sylwetkę. Nie czuła ciepła. Żyła w mrocznej iluzji dawnych cieni, potęgujących cierpienie. Widziała kryształową miłość tulącą zmarznięte stopy, odchodzącą w płaczu poza granicę krzyku. Jego krzyku. Bo to on jest teraz centrum, właśnie jemu pragnie oddać ciepło, które trzyma w dłoniach.

„Zapomnij” - szepczą zdrętwiałe lękami usta.

To strach o niego. Jeśli sobie nie poradzi, jak będzie mogła odejść? Coś niezwykle silnego wtargnęło między ich stłamszone bezkresem męki wnętrza. Coś, co powoduje, że mężczyzna wstaje co dzień słabszy i bardziej bezsilny, patrząc w martwe oczy poranka. Wychodzi z domu, ciągnąc ją za sobą. Biega po szarych ulicach, zatapiając rozum w coraz większym chaosie niemocy. Rozdarły paniką i uczuciem poddania nie wie, w którą stronę podążyć. Wraca więc do pokoju, by wrywać strzępy ułudy, która przecież nigdy już nie wypełni się jasnym blaskiem ciepła.

Trwają w męczarniach, katusze już nie-wspólnych chwil rozdierają bólem każdą część ciała.

Stoi, skulona w sobie, prawie bezbronna. Ale musi mieć siłę. Musi przynieść ratunek... Patrząc, jak mężczyzna nagle rzuca się na podłogę i wije w koszmarze męki, czuje gdzieś w środku tak wielkie szarpnięcie, że niemal mdleje. A on raptownie wstaje, by dać upust niepokohowanej agresji, która rozrywa od tak dawna jego trzewia. Wystraszyła się, że już nigdy nie powróci do tego, kim był kiedyś. Zaledwie rok temu...

Decyduje się w końcu podejść, by podjąć walkę z czernią w jego oczach. Stoją naprzeciw siebie, spięci, pogrążeni w mroku. Kobieta wpatruje się w wypalony błękit, dostrzegając jedynie pustkę. Rozległa i zdeptana brudem nieugaszonego żalu i tęsknoty za czymś, co odeszło. Dotknęła

jego pobrużdżonej goryczą twarzy i wiedziała, że nic nie poczuł, że jej wysiłki są daremne. Nie potrafi już niczego zmienić. Tego, co się zdarzyło, nic i nikt nie jest w stanie cofnąć...

Znów dotyka jego twarzy, z całą mocą pragnąc, by ją wreszcie dojrzał, by wysłuchał uśmierzającego boleść tchnienia, lecz on odwraca się raptownie. Łzy bezsilności musnęły jej policzki, sercem zatargał krzyk. Jęknęła w bezgranicznym zwątpieniu, osuwając się do jego stóp.

Ostatkiem sił wstaje jednak, a jej westchnienie wplata się we włosy mężczyzny. „Zapomnij” - szepcze, który to już raz, a on, jakby nagle przebudzony, usłyszał ją po raz pierwszy.

Wyrwał powoli głowę z dłoni, by wreszcie na nią spojrzeć, jednak zobaczył tylko noc i rezygnację. Rozgrywające się w nim katusze powaliły zmęczone ciało na ziemię, by zaraz potem poderwać je do góry w nieopanowanej furii zniszczenia. Wystraszył się, że już nigdy nie powróci do tego, kim był kiedyś. Zaledwie rok temu!

Dlaczego nie ma przy nim jej zrozumienia i dobroci, delikatności i czułych westchnień? Pozostało tylko wspomnienie, subtelnym pięknem malowane w jego głowie. Ale to tak rozdzierająco kłuje! Szarpie! Niszczy! Jego oczy wyrażają zupełną próżnię, ale wewnątrz szaleje burza. Czuje lekki powiew na twarzy, który na sekundę orzeźwił umysł. A potem znów zanurza się w amoku nieszczęścia. Szaleństwo?! Apatia?! Gniew?! Wszystko to miażdży serce, jakby chciało udusić! Nie potrafi już niczego zmienić! Tego, co się zdarzyło, nic i nikt nie jest w stanie cofnąć!

Silniejszy powiew przemyka po jego twarzy. Chce zamknąć drzwi i wygonić przeciąg, lecz po co! Odwraca się gwałtownie, by wybiec z pokoju. Ból wciska jednak stopy w podłogę. Wściekłość rozdziera głowę. Dlaczego mi to zrobiłaś?! - krzyknęło wewnątrz, słysząc równocześnie przeraźliwy jęk wydostający się z kipieli uczuć.

Potem szelest słów połaskotał mu szyję. A on, jakby nagle przebudzony, usłyszał ją po raz pierwszy!

Wyszedł, by odetchnąć zwiewnością porannych mgieł, silnie zatraskując za sobą drzwi. Już wie, gdzie musi pójść.

A przez jej bladą twarz przebiegło delikatne westchnienie uśmiechu... Sfrunęła z parapetu i stopiła się w płasie z kroplami rosy, w których odbijała się ufność nadchodzącego dnia.

Położył na granitowej płycie kwiat słonecznika. Jej ulubiony.

EISERNE DROSSEL

pani Szapocznikow

a kosmos

pani alina znajduje oś symetrii między koślawymi udami
pramatki - przytępiony grot strzałki czasu, biegnącej od wielkiego
wybuchu do wielkiego kolapsu. zaprowadzona przed majestat

pępka, podziwia nieskończoną entropię podbrzusza,
które *pochłania niknące światy i nowe byty z nich wyprowadza.*
pani alina dostrzega ochrę na kredowych wargach. wyobraża sobie ich wilgoć i ciepło
wprowadzające w trans jak słowa starożytnych pieśni.

chciałaby zlizać neutrina i dzieła sztuki - urodzaj spływający z kącików
ust mówiących językiem delt i wyrzuseń. pani alina połyka zapach włosów
falujących *pod strażą podwójnego słońca.* gdyby wenus z willendorfu miała oczy

pani alina zobaczyłaby
dudniące bębny.

30.07.2012

WIKTORIA Niechcący

piszę wiersze w pączkach i rozmyślam
o tym co mówi czas zwykle po piątej
neurotycznie wywalam zawartość
ze śladami lampek czerwonego wina

gdy sen do mnie dzwoni
włączam usługę budzenia o poranku
rozganiając wszystkie kace w prawo i lewo
ceruję się od nowa nitką z mocnym postanowieniem
poprawy włosów rozwieszona na balkonie
czekam na odlot wróbli z karmnika

odkąd sprzątnęłam obce pocałunki
mój oddech jest mniej gorzki
za to oczy warczą samotnością
jak ósmym cudem świata

ZACHARY ANN zakorzeniony

jej głos przebija się przez ściany. jest cięższy, ciemniejszy,
zapada oczy. za każdym krzykiem wspominamy czasy
odległe jak grzeszny spokój.

patrząc na mnie nie szukasz ratunku - próbujesz zrozumieć
dlaczego żyje w świecie krzyków, kurw i obcych twarzy, a guzy
rosną bez uderzenia.

Utwór inspirowany poezją Dominiki Kaszuba.

EISERNE DROSSEL

pani Szapocznikow

rzeźbi macierzyństwo

ósmego dnia stworzenia pani alina postanawia odzyskać człowieka. nie aspiruje do roli kolejnej z figur, naprzemiennie uśmiercanych i powoływanych do życia przez umysły cięższe niż poliuretan który rozwija w wielotomowe wątki,

historie miłosne i historie chorób. pani alina zastanawia się, w jakim języku krzyczy owoc, kiedy rodzi pestkę. dlaczego zawsze w głąb, natomiast człowiek na oścież. pani alina wie, że biodra należy stosować ostrożnie, pod bardzo ostrym. kątem oka obserwuje wcięcie - wkrótce zablizni się,

w arteriach popłynię chlorofil. sady wypełnią się nim po brzegi, późnym latem zaczną krwawić mdłym zapachem jabłek. w jaki sposób pszczoła zmienia drzewo w negatyw? - pani alina zachodzi w głowę, nie w ciążę. rzeźbi wielkie brzuchy.

4.07.2012

EISERNE DROSSEL

szkicownik pani

Szapocznikow

imiona naszych bogów są pełne czekania
w każdym języku pachną ogniem i siarką jak zapalki
najczęściej służą do dłubania w zębach

wiara pęka wzdłuż ciała - zmienia się w przesąd
gdy człowiek zaczyna odróżniać przyrzeczenia od prośb

na hematologii głośniejszą niż modlitwę słyhać
chodaki oddziałowej

- tak brzmi niedosyt

17.05.2012

KWIAT_KALAFIORA

zanim.

alzheimer

koniec

czasami traci wrażliwość. strzepuje dźwięki z klawiszy, kładzie to na karb. zmęczenia nawarstwiają się i puchną w głąb - jakby wdychał piasek i krzesał z niego sen, ten nienazwany lęk.

śni obce ciało, ale bez słów, jeszcze nie. kim się zanurza, kto rozpycha dotykiem wodę? wokół jest ciemno i jednakowo słono, dudnienie rozrasta się. zanika w pępku - chociaż nikt nie wyjaśnił granic i troska przepływa wszędzie. budzi się i nie pamięta. jeszcze nie.

początek

cierpliwie chowa szklanki, rozbija lustra - nie ufa obcym odciskom palców. zaczyna gubić twarze. pamięta inne i coraz więcej śpi. już wie. tłucze głową o ścianę.

jak cicho, jak rytmicznie, jak od wewnątrz w brzuch.

BURY_WILK

We don't need

another hero -

historia o wilkołaku

I

Szedł tak cicho, że nie słyszał własnych kroków. Ostrożnie, uważnie. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, jedno przypadkowe trzaśnięcie gałązki, a myśliwy zmieniłby się w zwierzynę. Coś poruszyło się z przodu, w gęstwinie młodych olszyn. Przystanął i nasłuchiwał. Cisza przerywana nocnym rechotem żab. Ten ruch, to nie było to, czego szukał. Znów krok do przodu. Pod stopą grunt stał się grząski. Dalej zaczynało się prawdziwe bagno. To było terytorium bestii, na którą polował.

Muskiet, dwa pistolety, szabla i dwa długie noże. To powinno wystarczyć, ale nigdy nie wiadomo. Jeśli potwór go usłyszy lub zauważy, jeśli będzie sprytniejszy, może być bardzo źle. Cokolwiek siedziało tam z przodu, z pewnością potrafiło zabijać.

Po kolejnych kilku krokach znów się zatrzymał. Miał już wodę do kostek, a ziemia pod nią wydawała się grubym, miękkim, ale bardzo zdradliwym dywanem. Nieco z lewej coś było słyhać. Ciche, ale wyraźne dźwięki dawały się wyodrębnić z naturalnej, nocnej sonaty. Może to rodzina dzików, a może...

Pomógł mu przypadek. Gdy lśniąca pełnią twarz księżycy wyłoniła się zza chmur, stał względnie ukryty za pojedynczą, rachityczną osiką. Zrobiło się zupełnie widno. Stwór był dość blisko, nie dalej, niż czterdzieści metrów. Miejscowi gadali, że to purtk, ale dla nich wszystko, co złe, nawet lichy, to już był purtk. Ten tu, to jakiś upiór bagienny, może ghul, może jakiś utopiec. Trudno stwierdzić dokładnie, bo noc i gałęzie trochę zasłaniały. Siedział na suchym korzeniu wystającym ponad kępę wysokiej trawy i coś obgryzał. To coś, to chyba była ludzka goleń, ale pewności nie było.

Spokojne i ciche naładowanie muskietu. Niespieszne, ale perfekcyjne wycelowanie. Pociągnięcie za spust. Grzmot wystrzału przetoczył się po trzęsawisku. Srebrna, poświęcona kula strąciła kilka drobnych gałęzi, przycięła pałkę wodną i nie zmieniając trajektorii lotu osiągnęła cel. Potwór dostał idealnie między czerwone oczy. Nie wydał żadnego dźwięku. Po prostu zachwiał się, przechylił i chlapnął w wodę.

Było po wszystkim.

II

- Ależ paskuda! Czegoż to Szatan na ziemię nie pošle dla nękania ludu bożego?

- Ano, paskudne bydle. Aleć ten już szkody nie zrobi.

- I gdzieś go waszmość dopadł? Przy Kamieniu Diabelskim, tak, jako chłopci radzili go szukać? - Matka przełożona Gertruda mimo targającego nią obrzydzenia, nie mogła spuścić wzroku z truchła potwora leżącego u jej stóp.

- Nie matko. Tam złe miejsce. W czasie pełni, to i dziesięciu takich jak ja, a i lepszych - o ile takowi są gdzieś w świecie - by nie poszło. Ponoć kamień wejście do samych piekieł zaśłania...

- Ponoć. Może to bajdy, ale i rzeczywiście, strach tam iść na własnej skórze się przekonywać, a innych nie po bożemu na takie niebezpieczeństwo posyłać. Gdzie, zatem bestyja siedziała?

- W Białym Bagnie, nad Piaśnicą. Jeden strzał wystarczył. - Richard van Sink z Helu był dumny ze swojego wyczynu.

- Przysłużyłeś się waszmość klasztorowi, tym ziemiom, a nade wszystko Bogu. Pycha, to grzech, ale za dobre nagradzać się godzi, zatem nagroda i sława cię bohaterze nie minie. Złota mieszek, jak to w zwyczaju jest, już czeka, lecz mam coś jeszcze. Oto jest medalion święty. W połowie ma gryfa - ziemi tutejszej symbol, w połowie krzyż święty. Każden, któremu znak ów okażesz, będzie wiedział, żeś przez klasztor żarnowiecki naznaczon, by diabelskie pomioty, wiedźmy i pogaństwo tępić. Drzwi kościołów i klasztorów zawsze się przed tobą otworzą, a i dwory, choć to pruskie tałatajstwo, też na wieczerzę przyjmą i pomocy udzielą.

- Ależ matko, niegodnym takich zaszczytów. - Van Sink padł na kolana, lecz przełożona benedyktynek kazała mu powstać.

- Godnyś, godnyś. Kto kobolda z Mechowieckiej Groty wyciągnął? Kto w Pucku południcę pojmał, a w Wejherowie wampira? Czyja sława za granicami Rzeczypospolitej się szerzy, jako pogromcy stworów przeklętych? Richardzie van Sink z Helu, przypomina mi to ostatni odpust. Przybyła tu trupa muzykantów. Była z nimi dziewczyna, wołali na nią Tina. Zgrabna, wesoła, a kudłata, jakby piorun w nią strzelił. Wspominam o niej, bo refren jej piosnki mi w głowie utkwiał, a brzmiał on tak: „nie potrzebujemy innych bohaterów“ Tak i ja myślę. Lepszego, do obrony przed Diabłem nam nie trzeba. A przed czym waść nas nie uchronisz, uchroni modlitwa.

- Zaszczyt to dla mnie.

- Zatem służ wiernie. Z Bogiem.

*

- Bělny jachcôrz, bělny jachcôrz!!! - Umorusany chłopiec wygrzebał się spod któregoś ze stojących w pobliżu wozów i podbiegł do van Sinka.

- Do mnie mówisz mały? - Bohater przywitał dzieciaka uśmiechem.

- Jo, bělny jachcôrz. - Chłopak był miejscowy. Obdarty, szczerbaty, ale najgorsze, że mówił w tym dziwnym języku, którego nijak nie szło zrozumieć.

- A po polsku, nie umiesz?

- Trochi umiem. Starszi kazali się uczyć.

- To mów, czego chcesz, ino szybko, bom głodny.

- Ja słyshałem... - Chłopiec wstydliwie spuścił głowę. - Niechący, naprawdę... Słyshałem, że panie jesteście myśliwym, że złe ubijacie. A u nas we wiosce, jinsztë siedzi. Zabija, straszy. Starszi kazali do klasztoru iść, o modlitwę prosić, ale pan jachcôrz, pan pomoże...

- Jinsztë? To znów jakiś purtk albo inna przegrzecha?

- Nié panie. Nié purtk.

- Nie? Toś mnie zadziwił chłopcze. Co zatem, mora?

- Nié.

- Wieszczi, nielôp? - Van Sink z trudem przypominał sobie miejscowe nazwy potworów.

- Nié, panie.
- To może krôsniâ? - Bohater już się trochę zirytował.
- Panie, to wôłk, człowiekwôłk. Pomożecie, jo?
- Jo, mały. Pomogę. Masz jakoś na imię?
- Różnie. Starszi wołają szôtornik, albo gzub, ale najczęściej, to Spytko.
- Świetnie Spytko. Pozwól, że odsapnę nieco, zjem i pójdziemy do twojego wilkołaka.

*

Według słów małego Spytki, jego wieś miała być ze dwie, może trzy godziny marszu od żarnowieckiego klasztoru. Van Sinkowi nie spieszyło się za bardzo, więc przed podróżą zdążył się godnie najęść i napić. A i na drogę nie zabrakło pokaźnego bukłaczka z klasztornym półtorakiem. Młodzi bohaterowie walczący z potworami, poszukiwacze przygód wychwalani w balladach za swoje męstwo i szlachetność, z reguły mieli to do siebie, że lubili się dobrze zabawić, a ich wprawa w osuszaniu kielichów dorównywała tej w robieniu szabli. Richard van Sink z Helu też lubił dobrze wypić i może dlatego wędrowka bardzo się dłużyła.

Konia nie wzięli - bo raz, że blisko, a dwa, że na bagnach nie bardzo by się przydał. Pozostał marsz, a nogi nieustraszonego bohatera wczesnym wieczorem, całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Spytko nalegał, żeby dotrzeć do wsi przed zmierzchem, ale nic nie mógł począć. Van Sink zaległ pod rozłożystym dębem i zaczął chrapać.

Niby, miejsce wydawało się bezpieczne, w pobliżu traktu łączącego klasztor z pałacem von Krockow, jednak Spytko bał się. Tak naprawdę odległość do klasztoru była taka sama, jak do owianego złą sławą diabelskiego kamienia. Purtk, czy jakiś jego wysłannik z pewnością mógł się napatoczyć, a pijany w sztok van Sink raczej niewiele mógłby wtedy poradzić. Chłopiec przez jakiś czas próbował dobudzić dzielnego pogromcę potworów, ale w końcu musiał dać za wygraną. Poszturchanie, ani nawet solidne kuksańce nie przynosiły żadnego efektu. Wlazł, więc pod zwalony świerk i drżącym ze strachu szeptem wzniósł modły o bezpieczne przebudzenie. Pohukiwała sowa, coś trzeszczało, coś piszczało, coś szumiało... Wreszcie zmęczenie wygrało z przerażeniem i Spytko usnął.

*

W nocy nikt, ani nic nie napadło wędrowców, jednak Richard van Sink miał na ten temat inne zdanie. Był przekonany, że padli ofiarą, jeśli nie miejscowych strazydeł, to zwykłych rzezimieszków. Okazało się, bowiem, że jego bukłak z miodem jest zupełnie pusty. Ta zniewaga wymagała krwi. Tyle, że nie bardzo było wiadomo, z kogo jej utoczyć. Nie było śladów, nie było potencjalnego sprawcy.

Spytko oglądał całą sytuację nieco z boku. Miał tajemniczą minę i nic nie mówił. Van Sink nabrał nawet podejrzeń, że to chłopiec zajął się jego półtorakiem, lecz podejrzany zdecydowanie, za dobrze się trzymał na nogach, nie wykazywał też żadnych innych objawów podwędzenia alkoholu.

Ostatecznie Richard ciężko przeboleł stratę, ale obiecał sobie, że jeszcze znajdzie winowajcę i srogo się zemści.

Ruszyli w dalszą drogę. Do przejścia pozostało ledwie kilka kilometrów, ale teren był coraz trudniejszy. Szli czymś, co nadgorliwy kartograf nazwał kiedyś drogą, choć nawet słowo „ścieżka“ wydawało się zbyt pochlebny. Było wąsko i kręto. Co chwilę trzeba było pokonywać krzaki lub przeskakiwać zwalone, próchniejące, albo zbutwiałe pnie. No i zrobiło się grząsko. Może nie było to bagno, ale błota było, co niemiara, miejscami stała woda, a gdzieniegdzie grunt poruszał się i ugiął.

- Wszędzie tu tyle wody?
- Wszędzie. Tu blisko mórze i rzeka i jezoro i deszcz pada, toć musi się wylewać. - Chłopiec odparł rezolutnie i wesoło przeskoczył nieco większą kałużę.
- To może nie macie wilkołaka, tylko jakiegoś wodnika, topielca albo rusałkę?
- Eee. Takie, to częstô bywają, aleć sobie radzim. Ten, to człowiekwôłk. Na pewno.

Ścieżka łagodnie skręciła w lewo, w stronę lasu. Jeszcze trochę i znaleźli się w przyjemnym chłodnym cieniu. Tu było nieco suszej, za to pojawiła się plaga komarów. Całe chmary krwio-pijców, wygłodniałych i złośliwych. Wstrętne, złowieszcze bzyczenie nie ustępowało ani na chwilę, a oganianie się tylko rozsierdzało małe bestie. Richard van Sink, mimo, że z wieloma stworami już walczył, że przeżył całe mnóstwo niebezpiecznych przygód, teraz był bezradny. Rzucał się, podbiegał, przystawał, chował się za i pod krzakami, wymachiwał rękami, a i tak z każdą chwilą był coraz bardziej pokąsany i coraz bardziej zły.

Do arsenału broni antyowadziej miał już dołączyć wściekłe i rozpaczliwe okrzyki, ale Spytko go powstrzymał:

- Cii. Tu blisko diabelski kam. Teraz dzień, ale jak purtk się rozgniewa, to i pod słońcem nas napadnie. Nie trza krzyczeć.

Van Sink, na słowo „purtk“, już prawie się śmiał, ale coś mu podpowiadało, że w tej okolicy nie powinien. Omszałe drzewa, wielkie pajęczyny, kępy trzcin i ta dziwna cisza... Nawet wielki bohater czuł się niepewnie.

- Chodźmy szybciej. - Ponaglił Spytkę.

*

Z pomiędzy drzew wyszli na rozległą, oczywiście solidnie podmokłą łąkę. Mimo wilgoci, komarów było tu znacznie mniej, za to ich miejsce zajęły gzy. Te ciężły jeszcze boleśniej...

Richard van Sink przeklinał w duchu i nie tylko w duchu wszelkie latające robactwo. Przeklinał tego, kto wymyślił ścieżkę, na której do kostek grzęzło się w błocie i przeklinał wilkołaka, który do zamieszkania wybrał sobie tak paskudną okolicę.

Ponad wysoką trawą zamajaczyła najpierw smużka dymu, potem dachy długich chałup.

- To twoja wieś?

- Nie, to cëzy.

- Cëzy? Obcy?

- Jo, obcy. To Olendry. Dziwaki, innowierce. Trzymają się sami ze sobą, gadają dziwnie, gęby do nas nie otwierają, w ziemi kopią...

- Rowy? Pewnie melioracyjne?

- Melio... co?

- Melioracyjne. Takie do osuszania bagna. Ale chyba nie bardzo im idzie? - Van Sink wymownie spojrział w dół, na nogi utaplane w błocie.

- A, do suszenia. To jakoś tam im idzie. Zeszłego lata woda tu była po kolana, teraz ledwie kostek sięga. Ale oni i tak dziwni. Może i człowiekwółk, to od nich przyłazi?

- Nie wiadomo. Tego mi się dopiero dowiedzieć przyjdzie. Spytam, może coś wiedzą.

- Nie. Nie dogadacie się z nimi. Oni tylko po swojemu. Mówiłem, to Olendry.

- Ja też jestem Holendrem. - Van Sink uśmiechnął się wesoło, patrząc na zdziwioną i trochę przestraszoną minę Spytki. - Zdziwiony? Przecież van Sink, to nie nazwisko kaszubskie, nie pruskie, no i nie polskie.

- Tutejszy pan, nazywa się von Krockow...

- Von, a nie van. - Richard śmiał się coraz bardziej.

- Przeca matka przełożona mówiła, żeście z Helu?

- Tak na mnie wołają. Richard van Sink z Helu. Mam posiadłości na półwyspie, ale jestem Holendrem. Rodzonym w Rotterdamie, matula ze słynnego rodu Feyenoord była, choć pewnie niczego ci to nie powie.

- Jaaa. - Spytce nic to rzeczywiście nie mówiło, co nie zmieniało faktu, że był pod silnym wrażeniem. I nie było to wrażenie pozytywne. We wsi na pewno nie ucieszą się, że sprowadził obcego, a już zwłaszcza, kiedy to będzie któryś z tych dziwaków Olendrów. - A możecie panie nie mówić, żeśta Olender?

- Mogę. - Van Sink wykazał się zrozumieniem, jeszcze raz się uśmiechnął i pogłaskał chłopca po głowie.

- Hallo, is iemand er? - Richard kilkakrotnie powtórzył zawołanie, ale nikt mu nie odpowiedział. Wieś wydawała się pusta. Domy pozamykane, okiennice zatrzaśnięte. Jednak dym z komina leciał, a w szparze pod jednymi z drzwi, wyraźnie poruszył się czyjś cień.

Bohater i chłopiec stali spokojnie, obserwowali i nasłuchiwali. Nikt się nie odezwał. Nikt do nich nie wyszedł. Może strach budził muszkiet Richarda, może pistolety i szabla? A może tubylcy z założenia nie chcieli kontaktu z obcymi.

- Mówiłem, że to dziwaki. Nawet swojego nie witają.

- Nic to. Chodźmy. - Van Sink poklepał chłopca po ramieniu. - Może to i Holendrzy, ale poza tym, oni są jakiegoś dziwnego wyznania. Mormoni, albo mennonici. Pies ich trącał. Daleko jeszcze?

- Nié panie. Już niedalek.

Robiło się coraz cieplej, coraz parniej, a wszędobylskie gzy były coraz dokuczliwsze. Namaszczony przez Kościół łowca potworów oddałby wszystko, łącznie ze swym cennym uzbrojeniem za kufel piwa w chłodnej karczmie, w której nie ma much. Jednak nikt nie zaproponował wymiany. Ani Bóg, ani diabeł. Pozostały tylko marzenia, które pozwalały bezmyślnie stawiać kolejne kroki w grząskiej mazi. Rzeczywistość była brutalna i nie chciała się dostosować do wyobraźni. Błoto lub w najlepszym razie woda, chlapały na ubranie, nawet na twarz. Gzy cięży boleśnie, a słońce grzało.

Usłyszeli szczekanie psa.

- To Stolem, scyrz zielarki.

- Poznajesz go po szczekaniu?

- Nié panie. Innego u nas już nié ma. Wszystkie człowiekwółk zeżarł.

- Jednego zostawił? - Van Sink przestał się dziwić, gdy przeszli obok niskiej, krytej mchem chatki. Szczekające, warczące, kudłate coś rzucało się na łańcuchu i okazało się potworem, z którym nawet wilkołak musiał się liczyć.

Stolem ujadł okropnie. Z pewnością podniósł alarm na całą wieś. Richard nie był tym faktem zachwycony, ale nie zamierzał robić tragedii. Trudno się mówi. Wcześniej myślał, że dogada się z rodzicami chłopca i pozostanie w ukryciu przed pozostałymi mieszkańcami. To zwiększyłoby szanse na zaskoczenie wilkołaka. Ale cóż... Trzeba się dostosować do sytuacji, jeśli nie ma się na nią wpływu. Komitet powitalny już czekał.

Ludzi było około dwudziestu. Nie bardzo wysocy, ale silnej budowy, wąsaci i na wszelki wypadek zaopatrzeni w widły i siekiery. Patrzyli spode łbów i czekali, aż bohater zbliży się na tyle, by już nie mógł uciec. Na widok Spytki wrogie twarze jakby odrobinę złagodniały.

- Czego tu? Spytko, gzubie, po coś cudaka przyprowadził?

- On człowiekwółka ubije, jo?

- Ot bredzisz mōli szôtorniku! Już cię rzniątka będzie! Czekaj no smôrkòla!

- W klaszorze żem go znalazł. Dla siostrzyczek świętych nielôpa ustrzelił, tom pomyślał, że i nam pomoże... - Spytko zgrabnie próbował ratować skórę na swoim tyłku.

- Ot, gzub głëpi... Ty poszedł się modlić, czy jachcôrza szukać? Czekaj no ty... - Jeden z męczyzn, zapewne ojciec małego wyrwał do przodu, jednocześnie usiłując wyciągnąć rzemień ze spodni. Spytko nie czekał na rozwój sytuacji i dał nogę.

Richard został sam, a że miny miejscowych znów zrobiły się mało gościnne, poczuł lekki dyskomfort. Odruchowo opuścił jedną dłoń w kierunku szabli, drugą oparł na rękojeści pistoletu. Gest wielce wymowny i co ważniejsze skuteczny.

Widły, jakby speszzone opuściły się ku ziemi, siekiery wstydliwie schowały się za plecami właścicieli.

- Eee - Elokwentnie wypowiedział się ojciec Spytki. - Panie, szmat drogi przeszliśta. Cóż was sprowadza do naszej biednej wioski?

- Dzieciak mówił, że wilkołak was gnëbi, tom przyszedł ubić maszkarę. - Van Sink czuł się już zupełnie pewnie.

- Jo, człowiekwółk... Przeca to jeno człowiekwółczek. Co tam, scyrzy kilka zeżarł, kluki, jedną buczkę i starą bartnikową. Żałować nie ma czego.

- A jak dziś w nocy was ubije?

- Oj, panie, my drzwi i okiennice na skoble zamykamy, zwierzaki w stodółkach. Niech se bestia wyje i łązi pod oknami, jak chce. Toć i bezpieczniej, bo kradzélc żaden nie podlizie, jo?

- Jo, jo panie jachcôrz. - Gorliwie podchwycili pozostali chłopci, chaotycznie potakując głowami.

- Ludzie, głupoty prawicie. Toć to stwór przekłety. Ja w służbie u matki przełożonej jestem. Obowiązkiem mi pomiot piekielny zakatrupić i do klasztoru zawieźć, co by go wodą święconą pokropić, egzorcyzmy odprawić i spalić ściervo, żeby z martwych więcej nie powstało.

- Oj panie... - Ojciec Spytki oddał siekiere sąsiadowi i podszedł do młodego bohatera. - A nie można tak wymodlić, żeby człowiekwółk jeno nas ostawił w pokoju i do Holendrów polazł? To dziwaki, innowierce. Bogu miłym będzie, jak im bydle w życ się wgrzyje, jo? Potośmy gzuba do klasztoru posłali. Skąd my wiedzieć mieli, że on głupot narobi. Tyłek mu spiorę, że i trzy niedziele na nim nie usiądzie.

- A to po bożemu piekielnego sługę na sąsiadów posyłać, choćby i inną wiarą wyznawali?

- Panie... - Głos chłopca powoli się załamywał i przechodził w lament. - Toć rzecz jeszcze jedną powim. Dokuczliwy ten człowiekwółk może i jest, aleć krzywdy dużej nam nie zrobił. A skąd się człowiekwółki biorą, toć jasne. Przeca w dzień może to być człek utschęwi i bez winy żadnej, jo? Skąd wiedzieć mamy, czy to nie z nas który. Zabijeta człowiekwółka, to na wieś żałoba spadnie. Prosim ja was, przyjmijta przeprosiny, na posiłek dajta się prosić, na nocleg, a potem wracajta do matki przełożonej.

*

Gorąca, młodzieńcza krew buzowała chęcią działania, ale bohater potrzebuje przede wszystkim rozsądku, więc Richard van Sink opanował się. Uzgodnił z chłopami, że postara się wyprosić u zakonnic egzorcyzmy dla całej wsi, by klątwę zdjąć, bez konieczności zabijania potwora. Osobiście nie bardzo wierzył w skuteczność takiego działania, ale kto wie? Może moc żarnowieckich benedyktynek jest większa, niż można by się tego spodziewać.

Na razie pokojowo ustalono, że mały Spytko dostanie tylko połowę obiecanego lania, a Richard odejdzie o świcie. Do tego czasu miał być we wsi gościem.

Ojciec Spytki - Maciej uznał, że skoro syn narozrabiał, to jego obowiązkiem jest przyjąć dzielnego młodzieńca, który było, nie było, przybył im na ratunek. Wolne łóżko w chacie było, a i jedzenia nie brakowało, więc nic nie stanowiło problemu.

Richard, już bez nerwów wkroczył do wsi, która choć nie miała oficjalnej nazwy, przez tułtejszych zwana była Kalęga. Nazwa, choć mało oryginalna świetnie oddawała klimat najbliższych okolic. Wszystkie domy wybudowano wzdłuż drogi, która tu była nieco szersza, natomiast zaraz za ogrodzeniami zaczynała się podmokła łąka.

Chałupa Macieja nie odróżniała się szczególnie od pozostałych, ot, może tylko tyle, że na jej dachu znajdowało się spore, bocianie gniazdo.

*

Zasiedli przy prostym, sosnowym stole. U szczytu Maciej, chłop krępy, o lekko odstających uszach i dość wysokim, płaskawym czole. Po prawej miał żonę Jadżkę - małomówną i bez odpowiedniej ilości alkoholu, nie pozwalającą się zaliczyć do pięknych - i córkę Bażkę. Córka była dokładnym przeciwieństwem matki, a i z ojcem wydawała się mieć niewiele wspólnego, co skutkowało tym, że Richard van Sink nie mógł odlepić wzroku od jej słodkiego uśmiechu, błękitnych oczu, złotych włosów i od całej reszty, która skrywała się pod lnianą bluzką i kwiecistą spódnicą. Bohater i mały Spytko - nie bardzo mogący siedzieć - zajęli miejsca po lewej ręce gospodarza.

Zagryzając wędzonego węgorza Richard usiłował zagaic jakąś rozmowę, ale ta zupełnie się nie kleiła. Dopiero, gdy mimochodem wspomniał o Gdańsku...

- Gduńsk? Bywaliście panie w Gduńsku, jo? - Baśka zatrzepotała rzęsami. Wściekły wzrok matki zupełnie na nią nie podzielał. - I na jarmarku bywaliście, i na okrętach, i na balach?

- Bywałem. - Van Sink uśmiechnął się wesoło, a jego oczy błysnęły figlarnie. Tym figlarniej, że przy nagłym wybuchu zainteresowania, piękna dziewczyna poruszyła się gwałtownie, a jej bluzeczka troszkę się rozchyliła...

- Ależ tam musi być pięknie. - Rozmarzyła się Baśka. - Te domy, te kościoły... Był u nas kiedyś wanożnik, co z Gduńska wracał. Opowiadał cudownie, a i trzewiki mi zostawił i pôcorë...

- Baśka!!! - Maciejowa szczeknęła jak ogromny i bardzo zły brytan. - Zeżarła? To już ze stołu pozbieraj i tobakę przynieś, a nie językiem po próznicy mieiesz!

Dziewczyna zrobiła buzię w ciup, jej błękitne oczy zaszyły łzami, wiele ją kosztowało, żeby się nie rozplakać, ale w końcu posłuchała matki. Mimo to przechodząc obok Richarda nie powstrzymała się, żeby porozumiewawczo, lekko go nie szturchnąć i nie puścić mu oczka. Na więcej sobie jednak nie pozwoliła.

Niezręczna cisza panowałaby bardzo długo, gdyby nie kolejne pytanie bohatera:

- Gospodarzu, a daleko stąd do morza? Gorąco dziś, popływałbym chętnie.

- Iii, niedalek. Dziś mörze spokojne, to i cisza, ale jak dënëga jest, to szum, albo i ryk tu we wsi słyhać, jakby za rogiem już woda była. Będzie ze dwa pacierze. Chyba, że drogi się nie zna i w dąple wlezie, to i długo być może, a jak człek pechowy, to już nigdy nie dolizie...

- A prosta ta droga? Trafie?

- Spytko pokaże. Przyciągnął bëlnego pana, to niech się nim tera zajmuje.

- Jo, ja poprowadzę! - Chłopiec wydarł się radośnie. Najwyraźniej narzucony obowiązek bardzo przypadł mu do gustu.

- Poczęstujecie się panie tobaką? - Baśka, nie wiedzieć, kiedy wzbogaciła swój ubiór o czerwone korale, zapewne te z Gdańska.

- Dziękuję, chętnie. - Richard zaciągnął się, po czym zdrowo kichnął.

*

Nad morze rzeczywiście nie było daleko. Droga oczywiście, jak wszystkie w okolicy ginęła w trzęsawisku, ale Spytko prowadził tak sprytnie, że faktycznie po dwóch pacierzach wyszli na plażę.

Pas żółtego, drobnego piasku był szeroki, a tafla wody za nim, nad wyraz spokojna.

Van Sink zrzucił z siebie broń, koszulę i buty. Piasek, nagrany od słońca parzył w stopy, ale woda była zimna. Richard poważnie zastanawiał się, czy nie odstąpić od pomysłu kąpieli, lecz Spytko przerwał te rozważania w dość brutalny sposób. Krzycząc w niebogłoso, wbiegł do wody rozchlapując ją przy okazji tak, że na nieustraszonym pogromcy potworów nie zostało suchej nitki.

Nie było już nic do stracenia, więc młody bohater nabrał powietrza i zanurkował w zimną, zielonkawą, lekko słoną otchłań. Orzeźwiający chłód rozkosznie obmył go z potu, przyniósł też ukojenie dla swędzących miejsc pokąsanych przez muchy i komary. Młodzieniec i chłopiec pływali i pluskali się zdecydowanie dłużej, niż było to potrzebne dla umycia się, czy ochłodzenia. Wreszcie wyszli na brzeg i położyli się na gorącym piasku.

- Mogę obejrzeć medalik? - Spytko wskazał zawieszony na szyi Richarda prezent od matki przełożonej żarnowieckiego klasztoru.

- Proszę. - Van Sink zdjął ozdobę i podał chłopcu.

- Ale ładny. Powiem coś panie, ale nie mówta starszim...

- Nie powiem.

- Zbieram takie medaliki. Mam już szesc. W wiosce pokażę, tylko pan pamięta, to krëjamnica!

- Nie ma sprawy, będę milczał.

- Bo starszi by mi zabrali i jeszcze bym rzniątka dostał... A takiego, to jeszcze nie mam...

- Może kiedyś będziesz miał. To od siostr z Żarnowca. Jak zasłużysz, to i ty możesz taki dostać.

*

Przed samą wioską Spytko konspiracyjnie położył palec na ustach, po czym złapał Richarda za rękę i pociągnął w krzaki. Tam zanurkował w gęstwinę leszczyny, by po chwili wrócić z małym zawiniątkiem.

- To moje medaliony. - Pochwalił się.

Van Sink za zdziwieniem przyjrzał się błyskotkom. Wcale nie były to tanie blaszki sprzedawane na odpustach. Pięć było srebrnych, jeden z całą pewnością ze złota. Widniały na nich krzyże, gryfy i herby. Na złotym wyrzeźbiono herb Gdańska. Jednak ten, który najbardziej zainteresował van Sinka, był duży, ciężki, srebrny i wyobrażał głowę wilka.

- Skąd to masz?

Spytko podejrzliwie spojrzął na bohatera i trochę niepewnie odpowiedział:

- Dostałem...

- Na pewno? Takich rzeczy nie daje się ot tak.

- Na pewno. Przechodził tu raz taki bójorz. Dziwny był, straszny trochę, ale prezent mi dał, żem go przez dąple przeprowadził.

- Ukradłeś mu? - Van Sink przybrał surowy ton, ale Spytko szedł w zaparte.

- Nie ukradłem panie. Ja nie kradnę. Tatk by mnie tak zbił, że łojej.

- Hmm. Ten wisior jest bardzo stary i faktycznie należał do wojownika. Takiego, co walczy z potworami, co chroni ludzi. To wyjątkowy medalion. Daj mi go chłopcze. Przyda mi się podczas moich licznych potyczek z pomiotami piekielnymi.

- Nie dam. To mój i wcalem go nie ukradł!

- Więc się zamieńmy. Weźmiesz mój, a ja twój. Może być?

- No nie wiem...

- Chłopcze!!! - Van Sink trochę się zirytował. - Bo porozmawiam z twoim ojcem...

- No dobrze, już dobrze. Zamieńmy się. - Spytko nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

*

- Pipe? - Maciej trochę już przyzwyczał się do gościa, więc starał się być grzeczny.

- Że co... to jest, słucham? - Van Sink zrobił głupią minę, na którą patrząc, gospodarz uczynił niewiele mądrzejszą.

- Pipe? - Kaszub powtórzył, tym razem bardzo wolno, jakby z namysłem. Wyraz twarzy van Sinka nie zmienił się, no może tylko tyle, że oczy zrobiły się bardziej maślane. Choć młody bohater nie bardzo był przekonany, co, jak i dlaczego, to wyobraźnię już widział piękną Baśkę roztaczającą przed nim swe wdzięki... wrrróć... „A jeśli chodzi o starą Jadźkę???!“

- Paliliście kiedyś pipe? - Maciej z niepewnością obserwował jak Richard wpierw blednie, by wreszcie z oznakami zrozumienia i uśmiechem powrócić do normalnego koloru.

- Aaa, taką pipe... Chętnie.

Obaj usiedli wygodnie przed chałupą i zakurzyli fajki. Żeby tą sielankę jeszcze nieco umilić, Maciej posłał Spytkę po gąsiorek. W przyniesionym rychło naczyniu był mętny, białawy płyn, który miał tę cudowną właściwość, że już na sam jego widok oblicza rozpromieniały się uśmiechem.

Kilka pacierzy później było już jasne, że Maciej i Richard van Sink z Helu się polubili. Było też jasne, że tego dnia Maciej nie naprawi dachu, koła w wozie, ułamanej nogi krzesła, ani w ogóle niczego...

- Wyleję ten cholerny bimber! - Zrzędziła dość wrednie Jadźka. - Jak Stasiek jeszcze raz tu z nim przylezie, to czijami obję!

- Cěchò stara, gosc jest!

- Gosc, jak gosc. Taki jak i ty moczymorda!

- Cěchò, bo jak w łep zdiele...

Jadźka potwornie się oburzyła, nadeła, ale, tak na wszelki wypadek zamknęła się w chałupie. Maciej nie przejął się jej humorami. Gdy tylko zapanowała cisza uznał, że można pić dalej. Wspólnie z Richardem skwapliwie z tego skorzystali.

Gdy niebo zaczęło szarzeć, gąsiorok, choć nie mały, okazał się pusty. Rozochoceni biesiadnicy zauważyli to dopiero po kilku łykach „na sucho”. Ich zdziwienie było niepomierne, za to proporcjonalne do żalu.

- Nié ma? - Maciej zmarszczył swoje wysokie czoło.

- Nie ma. - Potwierdził smutno van Sink, a Maciejowi wniosek nasunął się sam.

- Ktoś ukradł!!!

- Ha! Wczoraj mnie ktoś ukradł półtoraka!!! To pewno ta sama jucha!

- To psie syny! To musi te Olendry! Parszywce!

- To złodzieje! Łapy poużynam!

- I głowy, jo?

- I głowy!!!

Obaj jednocześnie zerwali się na nogi i choć trochę się zatoczyli, utrzymali pion. Richard van Sink sięgnął po szablę, a Maciej po siekiere.

- Odbierzemy, co nasze!

- Odbierzemy... czekaj panie. - Maciejowi coś zaświtało w głowie. - Co ukradli, to ukradli, aleć przeca nie pójdziem o suchym pysku. Na szczęście, cosik na czarną godzinę, żem sobie ostawił...

*

Księżyc był już po pełni, ale wciąż dawał sporo światła, a jego srebrzysta jasność rozproszona w tumanach mgły snujących się nad grzędzawiskiem, tworzyła niesamowitą scenerię. Cienie rzadkich drzew wyglądały jak powyginane na wszystkie strony szpony. Pohukiwała sowa, rechotały żaby. Wilkołak, jeśli był w pobliżu nie mógł sobie wymarzyć lepszych warunków na polowanie.

- I raz!!! Dawaj bimber pogański synu! I jeszcze raz!!!

- Zostaw Maciej, to tylko drzewo. Rąbać Holendrów mieliśmy.

- Tu jeden za bómom się schował. Sam żem widział! I raz!

Zamaszyste ciosy siekiery spadały gdzie popadnie, także van Sink miał sporo szczęścia, iż przy okazji sam nie dostał po głowie.

- Zabij wszę i chodź dalej.

- I raz!!! - Głośne „plum“ ogłosiło światu, że stary Kaszub został pokonany przez grawitację. Richard pośpieszył mu z odsieczą, ale podnieść Macieja nie było łatwo. W efekcie obaj zaliczyli kolejne lądowanie w błocie.

- Spalimy im wieś!

- Spalimy!!! - Poderwali się i biegiem rzucili ku ciemnym bryłom zabudowań.

Rycząc jak poranione tury Maciej i Richard wypadli na środek „wrogiej“ osady. Było cicho. Domy zamknięte, światła pogaszone.

- Juhuuu...

- A kuku holendreczki...

- Stary Maciej wam oberźnie główki siekiereczką...

- Hallo. Hallo? Is iemand er? Hallo...

Wciąż było cicho. Napastnicy łypali wokół żądnymi krwi oczyma, ale nie bardzo mieli pomysł, od czego rozpocząć rzeź domniemanych złodziei bimbru i miodu.

- Dobra Macieju, zaczekamy na nich. Pewnie poszli na grzyby.

- Wyrzniem ich jak wróćą.

Usiedli opierając się plecami o studnię. Maciej pociągnął solidny łyk odłożonego na czarną godzinę bimbru, po czym podał gąsiorok Richardowi. Nie minął pacierz, a obaj spali chrapiąc, jak niedźwiedzie.

W nocną ciszę wdarło się długie, monotonne i złowróżbne wycie. W jednym z domów cicho uchyliły się drzwi. Czyjś cień wyjrzał na podwórze. Dało się słyszeć ostrożne kroki. Jakaś postać powoli zbliżyła się do studni...

*

Richard van Sink powoli, bardzo powoli otworzył oczy. Wredna dzienna jasność zaatakowała jego źrenice i szybkim, bezlitosnym impulsem wdarła się do mózgu, gdzie eksplodowała silnym, rwącym bólem.

- O rzesz... Najświętsza Panienko... - Bohater złapał się za głowę i ścisnął, jakby chcąc uratować ją przed rozpadnięciem się na części. Ból pulsował, ale na chwilę dało się go ujarzmić.

Richard podejrzliwie zlustrował otoczenie. Obok, wsparty o ścianę spał Maciej, zaś po przeciwnej stronie izby siedział ubrany na czarno mężczyzna z idiotycznie przyciętą brodą.

„Kobold, krasnolud, dziad borowy?“ - Niemrawo zastanawiał się van Sink, jeszcze bardziej niemrawo szukając szabli. „Eee, to chyba człowiek, tylko przygłupi...“

Mężczyzna bacznie obserwował powracających do świata żywych nocnych wędrowców. Kiedy i Maciej się poruszył, a potem z przeciągłym jękiem otworzył oczy, brodacz wstał i podstawił im miskę z wodą.

Van Sink ostrożnie, unikając gwałtownych gestów nabrał cieczy w ręce i obmył sobie twarz. Ulga była ogromna, choć niestety chwilowa. Maciej, choć z otwartymi oczami, wciąż był nieobecny duchem.

Młody bohater powoli przesunął się w stronę Kaszuba i poklepał go po policzku.

- Wstawaj Maciuś! Wstawaj. Żona w domu czeka, a myśmy, u jakich brodaczy pobłądzili.

Jakimś cudem obaj zdołali się podnieść. Brodaty mężczyzna nie odzywając się ani słowem, otworzył im drzwi. Świeże powietrze przyniosło lekkie otrzeźwienie i kolejną falę bólu.

- Jezusicku, co tak szumi? - Jęknął Maciej, po czym poruszył brwiami wspomagając proces myślenia. Proces przebiegł pomyślnie, bo zmęczona twarz Kaszuba rozpromieniła się uśmiechem. - Mòrze!

Rzeczywiście, z północy wyraźnie było słychać nieustający szum. Najwyraźniej woda była bardziej wzburzona, niż poprzedniego popołudnia, gdy Richard zażywał kąpieli.

Brodaty mężczyzna podał nocnym gościom siekiere, szablę i pusty gąsior.

- Wypiłeś? - Maciej łypnął na dziwnego człowieka spode łba, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Zamiast tego mężczyzna wręczył mu garniec ze zsiadłym mlekiem. Kaszub z nieukrywaną ulgą pociągnął kilka łyków, to samo zrobił van Sink. Myśl o zemście za kradzież alkoholu jakoś zesłała na dalszy plan. Brodacz bez słowa wskazał im kierunek.

*

Powrotna droga dłużyła się niemiłosiernie. Na szczęście było jeszcze wcześniej, więc nie było upału. Uporczywy wiatr, szum morza, no i ten diabelny ból głowy...

- Zajdziem do zielarki. - Wymamrotał Maciej. - Te Olendry nie dość, że bimber wypiły, to jeszcze nas struły. Zielarka pomoże.

Przed chatą zielarki było cicho. Cicho było też wewnątrz, lecz Macieja to nie zniechęcało. Pchnął drzwi i razem z Richardem weszli do środka. Miejskowa uzdrowicielka, kobiecina w sile wieku, siwa i drobniutka, siedziała w kącie izby i nic nie mówiła. Wydawała się bardzo wystraszona, ale Maciej był na tyle przejęty swoimi dolegliwościami, że tego nie zauważył, zaś Richard nie miał powodu, by przypuszczać, że na co dzień staruszka zachowuje się inaczej.

- Witaj dobrodziejko! Poratujta sąsôda. Olendry nas struli, głowy nam pękają.

Kobieta kiwnięciem głowy odpowiedziała na przywitanie. Drżały jej ręce i broda, ale wstała i bez słowa sięgnęła po jakieś zioła. Podała je Maciejowi.

- O, Bóg zapłać.

Wyszli z chałupy i czym prędzej skierowali się do wsi. Zioła trzeba było zaparzyć, a im szybciej, tym lepiej, bowiem bolesny problem nie tylko nie ustępował, ale wciąż narastał.

*

- Gdzieżeś był stary durniu?! Jużem cię opłakała! - Jadźka na widok wchodzących w obejście mężczyzn, a ściślej swojego męża, wydarła się chyba najgłośniej, jak umiała.

- Ciii. - Maciejowa twarz nieskrywanym cierpieniem wyraziła najwyższy poziom wrażliwości na krzyki. - Bylim u Olendrów, bo nam bimber ukradli.

- Wszyscy myśleli, że was człowiekwólk zeżarł...

- Eee, nieee. Jadźka, nie gadaj więcej, jeno zioła zaparz...

- Ty, stary wiesz, co się tu...

- Jadźka!!! - Pokonując ból Maciej zdobył się na podniesienie głosu. - Przymknij się i zioła daj. Potrzeba jest...

*

Richardowi i Maciejowi nie było dane zaznać spokoju. Na szczęście panaceum zaordynowane przez zielarkę okazało się na tyle skuteczne, że gdy dwa pacierze później ktoś załomotał do drzwi, ból w obu głowach już tylko ćmił.

Przed maciejową chatą zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy wsi. Gęby mieli wystraszone, ponure i niepewne.

- Czego? - Maciej nie wykazał się umiejętnością czytania w myślach.

- Macieju. - Odezwał się siwy starzec. - Trza twego gosca o pomoc prosić. Nie idzie inaczej, jo? Człowiekwółka mus ubić.

- Eee, przeca...

- Trza i już. Ciebie Macieju w noc nie było, a jinsztë znów przyłazł. Stolema zielarki rozszarpał na strzępy takie, że zbierać, co nie było. Potem po wsi całej szalał. Wył, ryczał, płoty rozwalał. Taki wściekły, to jeszcze nigdy nie był, jo? Na koniec Staškowi drzwi w drzazgi rozwalił i do izby się wtarabanił.

- Staškowi?

- Jo, Staškowi. Święć panie nad jego duszą.

- Bydle Staška zabiło? O Jezusicku, to, kto tera bimber pędzić będzie?

Odpowiedzi nie było. Zamiast niej wszyscy wymownie i błagalnie wlepili wzrok w szlachetne oblicze Richarda van Sinka.

- Ubijecie? - Maciej dołączył do swoich ziomków.

- Ubiję. - Richard powiedział to niemal uroczyście. Już prawie pogodził się z myślą, że tym razem nie będzie mógł wykazać się bohaterstwem, a tu proszę... Lepiej być nie mogło.

- To pewno, kto z Olendrów, psich synów! - Krzyknął ktoś z tłumu.

- Albo Jadźka. Nie raz się odgrażała, że z bimbrem skończy. - Mruknął znacznie ciszej Maciej i już normalnym głosem dodał. - Jak dacie radę człowiekwólkowi, to wieczną wdzięczność u nas będzieta mieli. Skarbów nie mamy, ale czym mozem, tym odpłacim, a wy u nas zawsze jak w rodzinii przyjęci będzieta.

- Jak w klanie?

- Jo, jak w klanie.

*

Do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu, ale mieszkańcy wsi, zdjęci strachem, już teraz kończyli wszelkie prace i jeśli nie musieli, nie wychodzili z domów. Richard zamknął się w pustej stodółce, gdzie nikt mu nie przeszkadzał i w spokoju przygotowywał się na nocny pojedynek z wilkołakiem. Wyczyścił pistolety i muszkiet, przygotował zapas srebrnych kul i wziął się za polewanie szabli oraz noży. Nie była to zwykła biała broń, lecz arcydzieło sztuki płatnerskiej, przygotowane specjalnie do tego typu zadań. Wspaniała klinga z hiszpańskiej stali pokryta była kilkoma

warstwami srebra, a na płazach wyryte były słowa egzorcyzmów. Przy wykuwaniu tych ostrz nie żałowano nie tylko potu i umiejętności, ale też modlitw i święconej wody.

- Panie, może pić chcecie? - Baśka wślizgnęła się do stodoły nie wiadomo którędy i kiedy. Richard z uśmiechem przyjął od niej dzban. Kogoś innego przegoniłby od razu, ale jej nawet nie upomniał za naruszenie spokoju.

- Dziękuję. Matka nie będzie zła, że tu panienka przyszła?

- Zamknęła mnie w izdebce i myśli, że tam siedzę. Ale tam... Jestem już duża... - Posłała van Sinkowi takie spojrzenie, że od razu zrobiło mu się gorąco. Zlustrował ją uważnie. No tak, z pewnością nie była małą dziewczynką. Właściwie, to była zupełnie dorosła... Założyła śnieżnobiałą bluzeczkę, prosty, czarny gorsecik zdobiony kwiatowym haftem, spódnicę, również w kwiaty, czerwone korale i także trzewiki. Pewnie te, co je przywiózł ten z Gdańska... Wyglądała pięknie, świeżo, odświeżenie i ponętne. Ależ była urodziwa. Zaiste, aż trudno uwierzyć, że kwiat tak niespotykanej urody zakwitł w tej zapomnianej przez Boga, bagnistej okolicy.

- Wieleście już jinsztęch ubili?

- Trochę... i owszem.

- A człowiekwółka?

- Ze dwa nawet. - Richard w uśmiechu dumnie wyszczerzył zęby.

- A jak ten was zeżre? Szkoda by było. Taki przystojny młodzieńc. Tyle dziewczek by płakało...

- A ty byś płakała?

- Ja?... - Baśka pokraśniała i wstydliwie załopotowała rzęsami. - Jo, płakałabym...

- Nie martw się. Jeszcze się taka bestia nie narodziła, co by van Sinka z Helu przechytrzyła.

- Oj, panie... - Ostrożnie pogłaskała wierzch jego dłoni. - Nie wy pierwsi tak mówicie.

- Nie? - Młody bohater szczerze się zdziwił. - Byli tu już inni?

- Bywali, bywali. Młodszy i starsi, szlachcice i kapłani. Jeden, to nawet biesiarz był. Wszystkich człowiekwółk ubił.

- Hmm... - Richard poczuł się jakby niepewnie, ale przy dziewczynie nie wypadało tego okazywać.

- Mnie nie ubije. Ciekawe jeno, czemu nikt wcześniej nie wspomniał, że już na wilkołaka polowano?

- Pierwej, bo myśleli, że waść sobie pójdiesz. Potem, bo nie chcieli, byśta się wystraszyli. Będę się modlić za waćpana.

- To dla mnie zaszczyt. - Teraz on ją pogłaskał, lecz znacznie śmieiej, po policzku. Bohaterowi nie przystoją przecież gesty nazbyt tkliwe, czy niepewne...

- I tego, co mi pòcorë i trzewiki dał, też rozszarpało. A miał mnie do Gduńska zabrać, świat pokazać...

- Ja cię zabiorę. - Van Sink palnął zupełnie bez zastanawiania, ale nie pożałował, bo Baśka odwdzięczyła się najpiękniejszym uśmiechem, jaki w życiu widział.

- Starszy się nie zgodzą.

- Poproszę o twoją rękę, wilkołaka im do nóg rzucę i worek złota jeszcze, to i się zgodzą.

A jak nie, to cię porwę.

Baśka już nie odpowiedziała. Rzuciła się Richardowi na szyję i zaczęła go obcałowywać...

*

- Ucieknijmy teraz! - Żdźbła słomy uroczo sterczały jej z pomiędzy włosów.

- Teraz?

- Jo, teraz. Co tam człowiekwółk. Ucieknijmy. Do rena nikt z chałupy nosa nie wychyli, to i się nie zorientują, a gdy słońce wzejdzie, będziemy już daleko.

- Eee... Nie można tak. Przeca obiecałem... Parol kawalera rzecz święta.

- To mnie obiecaj, co innego. - Baśka była coraz bardziej natarczywa. - Posłuchaj panie. Człowiekwółk zawsze zabijał przybyszy już pierwszej nocy. Was też szukał. Nie znalazł, więc z wściekłości zabił scyrza zielarki i Staśka bimbrownika. Ale wy panie, jużeście go przechytrzyli. Jużeście raz z nim wygrali. Po co znów los kusić?

- Nie. - Van Sink, choć go korciło, a i logiczna argumentacja do niego docierała, postanowił dbać o swoją reputację szlachetnego bohatera. - Ubiję potwora i o Twoją rękę wtedy dopiero poproszę.
- Wtedy, to może ja już nie będę chciała! - Fuknęła gniewnie dziewczyna, zabrała porozrzucane ubrania i uciekła, nim Richard zdążył zareagować.

*

Słońce zaszło. Wieś wydawała się wymarła. Nie było słycać żadnych odgłosów, w żadnym oknie nie paliło się światło. Richard van Sink z Helu otrząsnął się z wrażenia i ze zdziwienia po niezrozumiałej przygodzie z piękną Baską. Ubrał się, na szyję założył medalion z głową wilka, za pas wetknął noże i pistolety, na plecy zarzucił muszkiet. Obnażone ostrze szabli trzymał w dłoni. Powoli otworzył drzwi stodółki i ostrożnie wyszedł na podwórze.

Cierpliwość nie była najmocniejszą stroną młodych, walecznych bohaterów. Także Richard nie grzeszył nadmiarem tej cechy. A tymczasem wilkołakowi wcale się nie spieszyło. Ściemniło się całkiem, a potwora nie tylko nie było widać, ale nawet nie było słycać dzikiego, powodującego dreszcze skowytu.

Może widok zabójczego srebra i nieznanego strachu młodzieńca wystarczył, by bestia opuściła te okolice? Jeśli tak, to rano trzeba będzie sprawdzić, czy we wsi kogoś nie brakuje. Ten ktoś musiałby być właśnie tym potępionym. A jeśli będą wszyscy, to by znaczyło, że miejscowi mieli rację, iż klątwa dosięgła któregoś z Holendrów.

Van Sink, jak na swoje możliwości bardzo długo wytrzymał nieruchomo, oparty o jabłonkę. Potem zaczął się wiercić, jeszcze później wstał, by wreszcie nerwowo spacerować pomiędzy zabudowaniami. Nienawidził takiego czekania. Wolał iść wprost na niebezpieczeństwo, stanąć z nim twarzą w twarz i zadać zabójczy cios.

Księżyc schował się za chmurami. Ochłodziło się i siąpił deszcz. Z północy dochodził wyraźny, groźny i majestatyczny pomruk morza i poza szmerem liści, był to jedyny słyszalny odgłos. Milczały nocne ptaki, milczały świerszcze, milczały zaby. To była zła noc. Jakaś groźba wisiała w powietrzu zapowiadając straszliwe wydarzenia. Gromadziło się, narastało niewypowiedziane niebezpieczeństwo, nieznaną moc i groźba. Zupełnie, jakby miał nadejść sam diabeł, czy purtk, jak wołali na niego miejscowi.

Medalion z wilczą głową nagle zawibrował. Drgania były nieprzyjemne, ale tylko dzięki nim van Sink nie padł na serce, gdy płonące żółcią, wściekła ślepa niespodziewanie rozjarzyły się kilka metrów przed nim. Stwór zwyciężyłby bez konieczności używania kłów i pazurów. Jednak, wisior spełnił swoją rolę. Richard odruchowo odskoczył i pokonując łomot we własnej klatce piersiowej złapał oddech.

Bestia nie atakowała. Straszliwe oczy obserwowały swojego wroga ze spokojem i pewnością siebie. Pozwoliły, by bohater otrząsnął się z pierwszego wrażenia. Wilkołak chciał czegoś więcej, niż tylko krwi. Chciał walki, chciał wielkiego zwycięstwa, chciał udowodnić ludzkiemu śmiałkowi, kto jest tu panem i władcą.

Van Sink nie czekał na zaproszenie. Krzyknął coś niezrozumiałego, coś, co brzmiało jak „Feyenoord kampioen!” rzucił się do przodu, ciął szablą i od razu wykonał unik. Posrebrzana klinga świsnęła w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą świeciły jaskrawe źrenice. Przecięła powietrze i nic więcej. Wilkołak był już gdzie indziej. Ubrojona w pazury łapa trzasnęła w jelec. Nie dosięgnęła dłoni bohatera, lecz siła ciosu była tak potężna, że wytrącony oręż, furkocząc odleciał gdzieś w ciemność.

Van Sink z trudem uchylił się przed kolejnym ciosem. Teraz widział ciemną, kudłatą sylwetkę przeciwnika w pełnej okazałości. Potwór był tylko trochę wyższy od niego, ale znacznie bardziej muskularny. Łeb miał jak ceber, a w szczęce nienaturalnie długie kły kłapały i ociekały śliną.

Unik. Ledwo zdążył. Warcząca śmierć przemknęła mu tuż obok szyi. Wielkie cielsko zahaczyło go jednak i pchnęło swoim ciężarem. Poleciał w bok, jak szmaciana kukła, jednak teraz już nie tracił panowania nad sobą. Jeszcze nim gruchnął o ziemię, wyszarpnął jeden z pistoletów

i prawie nie celując wypalił. Sam nie mógł w to uwierzyć, ale trafił. Nie wiedział na ile skutecznie, ale nie było wątpliwości, że srebrna kula odnalazła w mroku wilkołaka.

Stwór zaryczał z bólu i nieopanowanej wściekłości. Krwawe bryzgi spadły na twarz gramolącego się z ziemi Richarda. Trzeba było iść za ciosem. Zręczne wykręcenie ciała i muszkiet, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki przeniósł się z pleców wprost do dłoni. Jeszcze tylko naładować i strzelić... Była chwila. Wilkołak rycząc walczył z bólem, rzucał się w kółko, ale nie atakował. Wyrachowanie i zimna krew. Proch, kula, przybitka, wycior, cyngiel...

Van Sink podniósł broń, by wycelować. Potwór znalazł się dokładnie na wprost muszki, tyle, że cholernie blisko. Zdecydowanie za blisko...

Palec naparł na spust najszybciej jak się dało. Desperacko, byle tylko wyprzedzić zamachniętą kudłatą łapę. Mechanizm muszkietu działał jakoś strasznie wolno. W ogóle wszystko poruszało się ślamazarnie, leniwie, w zwolnionym tempie. Wszystko, poza łapą wilkołaka. Pazury skrzeswały iskry na lufie setne sekundy wcześniej, niż srebrny pocisk wyskoczył na spotkanie celu. Wystarczyło. Tym razem kostucha świsnęła kosą milimetry od uźebionego łba.

Richard znów miał chwilę na reakcję, bo zwierz oszołomiony hukiem wystrzału odskoczył i zamarł, jakby niepewny, czy żyje, czy już nie. Bohater puścił muszkiet, rzucił się do przodu i zaatakował nożem. Mierzył od dołu, w brzuch bestii, tak, aby go rozpruć. Byli bardzo blisko siebie. Musiał trafić...

Ciemność...

Ciało van Sinka poszybowało kilka metrów w górę i spadło na ziemię. Młody wojownik z trudem łapał oddech. Jego palce zagięły się jak szpony i rozpaczliwie darły ziemię wokół. Coś uchwyciły. Coś ciepłego, dość miękkiego...

Ogon. Richard trzymał w ręce odstrzelony ogon wilkołaka. Nie wiedział, co o tym myśleć. Ot, przyjął do wiadomości, że tamten celny strzał przyniósł właśnie taki skutek. Zresztą, teraz bohater w ogóle miał problem z myśleniem. Przy upadku trzasnęły mu żebra, coś w nodze, no i plecy bolały go jakoś tępo, mocno i dziwnie. Poza tymi plecami bólu nie czuł. Niewiele rozumiał, nie bardzo mógł się połapać, co się stało i co się dzieje, ale za to dobrze widział zbliżający się ciemny kształt.

Za pasem tkwił jeszcze jeden nóż i pistolet. Akurat jedno w dłoń lewą, drugie w prawą. Wilkołak podchodził powoli. Na tyle wolno, że van Sink mógłby spokojnie wycelować i strzelić. Jednak wciąż zwlekał. Leżał ciężko ranny. Miał bezwładne nogi, pewnie już na zawsze. Powiedzmy, że zabije wilkołaka i jeśli w ogóle sam przeżyje, to będzie mógł się tym chwalić innym sparaliżowanym nieszczęśnikom w jakimś przytułku, albo, co bardziej prawdopodobne, żebrakom na ulicy... W pistolecie była jedna kula, wcale nie musiała być dla potwora... Z drugiej strony, okazja na odejście jeszcze się trafi, a teraz można, choć uwolnić tą wieś od kłątwy... Medalion na piersi wibrował, wręcz podskakiwał jak szalony. Van Sink wycelował pistolet prosto pomiędzy żółte ślepia...

*

Zapach krwi był jak narkotyk. Odurzał, przyciągał, pobudzał apetyt. Wilkołak zbliżał się do swojej ofiary. Zaspokoić żądzę, napić się ciepłej posoki, zemścić za potworny ból w ogonie... po ogonie. Już zwyciężył, teraz wystarczyło się tym zwycięstwem delectować. Stwór widział, jak jego ofiara miota się, jak bezradnie próbuje się ratować. Śmieszne. Ten człowieczek nawet zdołał wycelować pistolet... Skok, cios, kłapanięcie zębami. Boski, ciepły, słodkawy smak...

*

Niebo na wschodzie było coraz jaśniejsze. Wielki stwór, ni to człowiek, ni wilk skończył nocną ucztę. Wstał, wyprostował się i czekał na pierwsze promienie słońca. Skóra zaczęła się deformować, nienaturalnie wykrzywiać, pochłaniać sierść. Kły wnikały w dziąsła, oczy z żółtych stały się błękitne.

Gdy wielka, złota tarcza dziennej gwiazdy uniosła się nad błotnistą okolicę, nagusienka, jak ją Bóg stworzył Baśka rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi. Rana na dole pleców nie była groźna.

Przecież nikt jej pod spódnicę nie zajrzy, nikt nie będzie o nic pytał. Czym prędzej pobiegła za rodzinną chałupę, gdzie czekały ukryte ubrania. Musiała wrócić do swojej izby zanim zajrzą do niej rodzice. Głupio by było, gdyby po takim zwycięstwie nakryto ją w jakiś durny sposób...

*

Spytko wyleciał z chałupy jak poparzony. Biegł i rozpaczliwie rzucał na boki niepewne spojrzenia. Ślady krwi i zorana ziemia niewiele mu mówiły, ale wreszcie dojrzał ciało van Sinka. Serce chłopca waliło jak młot kowalski. Podbiegł, schylił się nad martwym bohaterem, który teraz już nie bardzo przypominał człowieka.

- Ty głępi Holendrze, ty... - Mruknął malec. - Dobrze, żeś nic tatce nie zdążył powiedzieć.

Drżące, małe palce z odrazą rozgarniały strzępy odzieży i mięsa. Wreszcie, w pustce pomiędzy żebrami Spytko znalazł to, czego szukał. Wyciągnął medalion z głową wilka i schował za pazuchę. Pognął za wieś i dołączył swój skarb do reszty kolekcji.

„Już mam sétmě“ - ucieszył się w duchu. W najbliższej kałuży opłukał ręce z krwi i pędem wrócił do domu. Udało się. Nikt go nie widział.

*

Maciej bez słowa podszedł do grupy sąsiadów stojących na skraju wsi. Nie pytał. Domyślił się, na co patrzą, domyślił się, co się stało. Może przez ułamek sekundy miał nadzieję, że ujrzy truchło wilkołaka, ale sam chyba w to nie wierzył tak naprawdę. Chwilę przyglądał się ponurym obliczom ziomków i trupowi van Sinka. On gościł śmiałka, teraz na nim spoczywał przykry obowiązek zakończenia całej historii. Wziął osikowy kołek i wepchnął między połamane żebra, tam, gdzie wcześniej biło pełne młodzieńczej waleczności serce. Serca już nie było, ale nie wiadomo, co by się stało bez tego kołka. Niby to nie wampir, ale lepiej nie ryzykować. Dość było kłopotu z jednym potworem.

Van Sinka pochowano w płytkim grobie pod lasem, na niewielkim wzgórzu. Maciej widać go polubił, bo sam wystarał się i postawił nieduży, brzozyowy krzyż, taki sam, jak kilka innych stojących w pobliżu.

- Spytko!!! - Kaszub odwrócił się od mogiły i krzyknął do syna. - Leć do Żarnowca, proś siostrzyczki o modlitwę! I zobacz, czy jaki handlarz się nie kręci, może by dało się oręż naszego bohatera sprzedać? Za takie szabelkę, za pistole, strzelbę i noże, pewno sporo gorzałki by było...

III

Nad samotną tawerną błyszczał sierp księżycy. Las cicho szeptał, z oddali szumiało morze. Piękna, spokojna noc.

Deski ganku zaskrzypiały pod ciężkimi krokami. Zawieszony nad wejściem, kuty w stali szyld kołysał się lekko. „Od zmięzchu do świtu“. Pchnięte drzwi otworzyły się dość ciężko, niemiłosiernie przy tym skrzypiąc. Ze środka uderzyły jasność, hałas i fala zapachów. Zabawa trwała w najlepsze. Muzyka, tańce, swawole, przekąski i alkohole. Dla spragnionych rozrywki, lub po prostu towarzystwa, nie było lepszego miejsca. Oczywiście, jeśli spełniało się pewne kryteria...

Na sporej tablicy wywieszono listy gończe. „Poszukiwany żywy, lub martwy.“ Wielkimi literami dopisywano, o kogo chodzi: „Święty Jerzy - smokobójca, Szewczyk Dratewka - smokobójca, profesor Ambroncius - wampirobójca, Geralt z Rivii - liczne zbrodnie przeciw rodzajowi potworze-mu, Richard van Sink z Helu - liczne zbrodnie przeciw rodzajowi potworze-mu.“

Wilkołak, a raczej wilkołaczycy nie czytała dalej. Zerwała kartkę z ostatnim nazwiskiem i podeszła do baru.

- Piwa? Okowity? - Uroczą południcą w szczerym uśmiechu odsłoniła nieco przydługie zęby.

- Potem. Jest Purtk?

- Jasne. Na zapleczu, za sceną.

Przedarcie się przez tłumek tańczących zajęło trochę czasu, ale w końcu się powiodło. Wilkołaczycza przeszła za plecami przygrywających na skrzypkach satyrów, ominęła śpiewającą rusałkę i brzdąkającego na basetli centaury. Na zapleczu było dużo spokojniej, za to niewiele było widać. Wszędzie unosił się siwy, aromatyczny fajkowy dym. Ślepie szczypały, nawet podchodziły łzami, ale nie wypadało się tym przejmować. Ot głupstwo, a mogłoby zszargać zasłużoną w bojach reputację.

- Płać! - Warknęła wilkołaczycza, jednocześnie rzucając na okrągły stolik zwinięty list gończy i spory woreczek.

Purtek przełknął słonego paluszka, popił piwem i dopiero zainteresował się petentką.

- Prawdziwe? - Rozwiązał woreczek i wydobyl z wnętrza ludzkie serce.

- Jasne, że prawdziwe.

- Hmm. Zobaczmy... - Purtek odgryzł kawałek. Chwilę go żuł, wreszcie splunął i z uznaniem pokiwał rogatą głową. - Van Sink jak żywy. Trzeba było zamarynować, lepiej by smakowało.

- Sam se marynuj, albo najmij jakąś wiedźmę. Dawaj nagrodę... A i odszkodowanie za ogon.

- Że co???

- Ogon mi bydlak odstrzelił. Wypadek przy pracy, więc mi się należy odszkodowanie.

- Powoli, powoli. Szuwarek, dawaj kufer!!! I zawołaj Piękną Rossie!

- Jestem, nie trzeba wołać. - Skrzeczący głos dobiegł ze stolika obok. Po chwili zza dymnego obłoczka wyłoniła się makabryczna twarz strzygi. - Czego chcesz?

- Wpis do kronik będzie. Pójdiesz z Bašką do baru, weźmiecie piwo, no niech tam, na mój koszt. Spiszesz, jak poległ okrutnik Richard van Sink z Helu. Tylko bez ubarwiania. Ma być rzetelnie, to kronika historyczna, a nie „Super Fakt“... A chcieli już nam jakiegoś Daraculę przysyłać, niby, że sobie nie radzimy... Nie potrzebujemy innych bohaterów. Mamy swoich.

- Jeszcze może mam zaśpiewać? - Warknęła Rosie. - Na urlopie jestem.

- Wystąpię do Lucyfera o premię. Sprawa ważna, więc nie marudź. - Purtek był konkretny. - Szuwarek!!!

- Idę, idę... - Chlapiąc szlamem wodnik doczłapał się wreszcie i postawił przed szefem spory i diabelnie ciężki, okuty złotem kuferek.

- Tu masz nagrodę. - Purtek skrupulatnie odliczył należną kwotę i wręczył wilkołaczycy.

- A po odszkodowanie, to do ZUS-u.

LCF

10.2006

Podręczny mini słowniczek kaszubsko - polski:

purtk - diabeł

bělny - szlachetny

jachcôrz - myśliwy

jo - tak (choć jest to doskonałe uzupełnienie, lub nawet zastępstwo dla każdego zdania :D)

starszi - rodzice

jinsztë - potwór

przegrzecha - chochlik

nié - nie

mora - zmora

wieszci - wampir

niełôp - upiór

krôsniâ - krasnolódek

wôłk - wilk

człowiekwôlk - wilkołak
szôtornik - łachmaniarz
gzub - łobuz
mòrze- morze
rzéka - rzeka
jezoro - jezioro
czëstô - często
kam - kamień
cëzy - obcy
niedalek - blisko
stolem - olbrzym
scyrz - pies
môłi - mały
rzniaćka - lanie
smôrkòla - smarkacz
glëpi - głupi
kluki - kwoki
buczka - świnia
kradzëlc - złodziej
ùtcëwi - uczciwy
wies - wieś
kalëga - błoto
Gduńsk - Gdańsk
wanoźnik - wędrowiec
pôcorë - korale
tobaka - tabaka
dënëga - fala
dãple - bagno
szesc - sześć
krëjamnica - tajemnica
bajorz - wojownik
tatk - tata
pipa - fajka
czij - kij
cëchò - cicho
gosc - gość
łep - łeb
bóma - drzewo
sąsòd - sąsiad
Bóg zapłac - dziękuję
młodzënc - młodzieniec
do rena - do świtu
słunice - słońce
sétmë - siedem
pistól - pistolet

Podręczny mini słowniczek niderlandzko - polski:

Hallo, is iemand er? - Halo, jest tu ktoś?
Feyenoord kampioen! - Feyenoord mistrz!

PROFILE AUTORÓW:

ANNA ZAJĄC <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=28>
BURY_WILK <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=8>
DYODA <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=10>
EISERNE DROSSEL <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=63>
KWIAAT_KALAFIORA <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=62>
SHECAT <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=42>
TOMASZ OBLUDA <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=11>
WASIŃKA <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=23>
WIKTORIA <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=66>
ZACHARY ANN <http://www.herbatkauheleny.pl/profile.php?lookup=14>

Skład PDF:
HELENA CHAOS
Skład epub i mobi:
SIRMICHO
Ilustracja na okładce:
WUJEK JULEK

Wszystkie teksty zamieszczone w „Herbasencji” są własnością ich autorów i podlegają ustawie o prawie autorskim. Jeśli chcesz je w jakiś sposób wykorzystać, musisz najpierw poprosić autora o zgodę.

„Herbasencja” jest darmowym magazynem portalu www.herbatkauheleny.pl, możesz go ściągać, rozprowadzać i czytać bez żadnych obaw ;)

WWW.HERBATKAUHELENY.PL



rys. AliceRossi

WWW.HERBATKAUHELENY.PL